

Poznaj Świat

10
2011

Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

W numerze
relacja skazanego
w Tajlandii na śmierć Polaka

str. 32

Jędrzej Czerep
GWINEA BISSAU

str. 76

Andrzej Bober
KOREA PŁN.

str. 84

Krzysztof Mielnik-Kośmiderski
TIMOR WSCH.

POLSKA

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 770032 614100 10

□ CORY RICHARDS FOTOGRAFUJE ZESPÓŁ PODCZAS PIERWSZEGO W HISTORII ZIMOWEGO WEJŚCIA NA 8,035 M.N.P.M GASHERBRUM II, PAKISTAN.



NEVER STOP EXPLORING

W środku zimy zdobywamy ośmiotysięczniki dla takich właśnie momentów. Simone Moro, Denis Urubko i Cory Richards w drodze na szczyt Gasherbrum II, zapisują własną kartę w historii himalaizmu.

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ NA THENORTHFACE.COM

THE
NORTH
FACE



Namibia str. 38



Timor Wschodni str. 84



Polska str. 50



Kazachstan str. 102



Norwegia str. 110

NASZ ŚWIAT Fotoforum **Czytelników** str. 4

KURDYJSKIE ŚWIĘTO WIOSNY str. 12
Opowieść o Nowroz, perskim Nowym Roku. **Maciej Moskwa**

KREW NA KRZYŻU POŁUDNIA str. 20
Gdy w Australii wybuchła gorączka złota. **Przemysław Płuciennik**

TRZCINY str. 28
Najnowsze opowiadanie **Wojciecha Albińskiego**

SAMBA NA CZARNYM ŁĄDZIE str. 32
Gwineę Bissau łączy z Brazylią szczególna więź. **Jędrzej Czerep**

BUTTERBRÖTCHEN I CZERWONA KAPUSTA str. 38
Fragmenty listu do siostrzenicy. Namibia. **Wojciech Łukasiewicz**

GEOSKOP str. 46

PODLASIE, RZECZPOSPOLITA WIELU NARODÓW str. 50
Przyroda, ludzie i świadectwa historii. **Marek H. Kotlarz**

TAM, TAM I INNE KIERUNKI... str. 58
Felieton **Dariusza Rosiaka**

FIŃSKI DOWCIP str. 60
W obiektywie **Jacka Siwko**

NAVIGATOR str. 62

NA KRAŃCU ŻYCIA str. 66
Relacja skazanego w Tajlandii na śmierć Polaka. **Michał Pauli**

MAZUREK NA WYNOS str. 74
Felieton **Roberta Mazurka**

POD PRZYWÓDZTWEM REŻYSERA str. 76
Z wizytą w północnokoreańskim Hollywood. **Andrzej Bober**

POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI str. 82
Rozmowa z **Bogusławem Lindą**

MAGIA TIMORU str. 84
Po latach represji życie wraca do normy. **Krzysztof Mielnik-Kośmiderski**

ODCHODZĄCE PLEMIONA str. 90
Fotografie **Williamy Gagnadoux**

Z PERSPEKTYWY str. 92
Felieton **Ryszarda Badowskiego**

NA SZLAKU KONDORÓW str. 94
Kanion Colca należy do najgłębszych na świecie. **Tomasz Zakrzewski**

NAD MORZEM, KTÓREGO NIE MA str. 102
Dziś z Morza Aralskiego pozostała tylko jedna czwarta. **Anna Dąbrowska**

JAK NAS WIDZĄ str. 108
Spotkanie z **Martą Wróblewską**, przewodniczką z Turcji

POLARNICY Z JEDNEJ PIASKOWNICY str. 110
Przez płaskowyż Finnmarksvidda. **Marcin Dymek**

OUTDOOR str. 116

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 120



NA OKŁADCE:
PODLASIE –
Magiczna kraina





Paweł Chara

RPA

Czasem słońce, czasem deszcz

Południowoafrykańskie przestrzenie,
200 km na północny wschód od Cape
Town, niedaleko rezerwatu Aquila.



Nikodem Jacuk

RUMUNIA

Październikowe słońca

Być może za takie słoneczniki Van Gogh dałby sobie obciąć drugie ucho.

Artur Lechowicz

FRANCJA

Kolorowy odlot

Mongolfiera to balon na rozgrzane powietrze. Zawsze pod koniec lipca w Chambley, na starym wojskowym lotnisku, odbywa się największa w Europie fiesta dla miłośników tych balonów. W tym roku ponad głowami prawie półmilionowej widowni zgromadzonej na polach Lotaryngii wzniosło się niemal tysiąc balonów z zawodnikami z 67 krajów.





Maciej Korbas

FILIPINY

Radość w slamsach

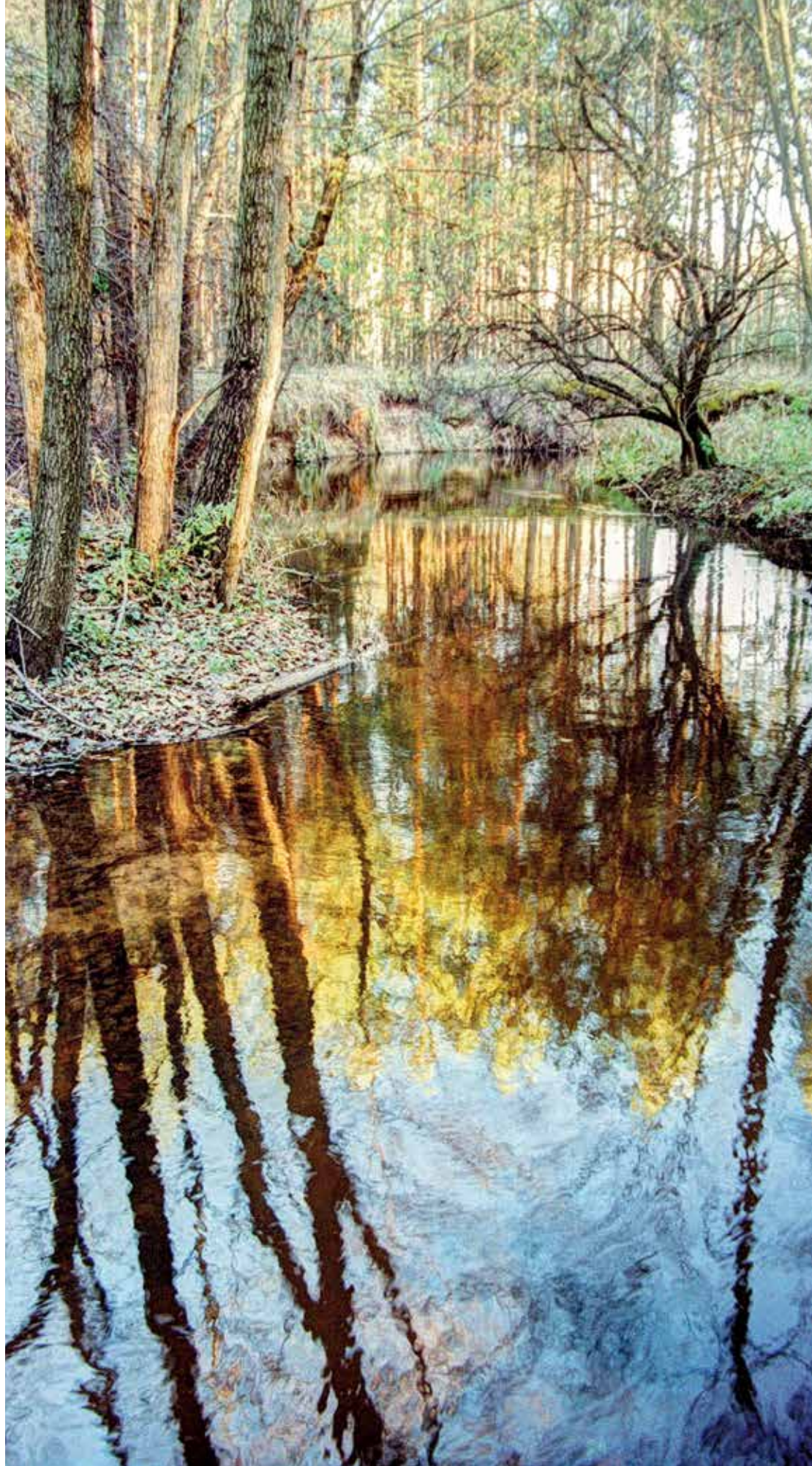
Na 7107 wyspach wchodzących w skład Filipin, których łączna powierzchnia zbliżona jest do obszaru Polski, żyje 94 miliony ludzi. W stolicy kraju Manili jedna czwarta mieszkańców zamieszkuje slamsy. Nie zawsze bieda przeszkadza dzieciom czerpać radość z zabawy. Trochę styropianu, kawałek starej gąbki, parę patyków, mnóstwo wyobraźni i kolejna część „Wojowników z klasztoru Shaolin” gotowa.

Lesław Domowicz

POLSKA

Jesienna Osa

Rzeka Osa ma długość 96 km i bierze swój początek na Pojezierzu Iławskim, a wpada do Wisły pod Grudziądzem. Zdjęcie zostało wykonane w rezerwacie przyrody „Dolina Osy”.





Dariusz Wiejczka

MAURETANIA

Skradzione spojrzenie

Kiedy zwiedzaliśmy Ayoune w Mauretanii, dyskretnie towarzyszyła nam grupka dzieci. Gdy złamaliśmy nasze niepisane porozumienie, próbując je sfotografować, jedna z dziewczynek skryła się za swoją koleżanką.

Leszek Wasilewski

ISLANDIA

Lody pękają. Pod nimi budzi się Katla

15 kwietnia 2010 roku nastąpił potężny wybuch wulkanu Eyjafjöll, który zatrzęsł także branżą lotniczą w Europie. Jak twierdzą wulkanolodzy, to tylko preludium przed erupcją dziesięć razy większego, widocznego na zdjęciu wulkanu Katla (1512 m). Średnica jego krateru wynosi 10 km, a powierzchnię wulkanu częściowo pokrywa lodowiec Myrdalsjökull. Wulkan wybucha zwykle co 40-80 lat, ostatnia erupcja miała miejsce w 1918 r. W czerwcu tego roku doszło do licznych trzęsień ziemi w okolicy wulkanu.



Przyślij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.



Maciej Moskwa

KURDYJSKIE ŚWIĘTO

FOT. MACIEJ MOSKWA



WIOSNY





**NEWROZ PIROZ BE!
SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!**

Dla nas to życzenia spóźnione
lub przedwcześnie,
lecz na pewno szczerze.

Siedzimy na podłodze we trzech. Dilshad, oparty o chłodną ścianę, z gorącą herbatą w dłoni, proponuje kolejną szklanekę naparu. Sącząc słodki czaj, snuje opowieść o Newroz, perskim Nowym Roku.



uwolni go od wszelkich bolączek. Syna miał więc wkrótce utracić kowal o imieniu Karwe – Dilshad przerywa, by szczegóły opowieści skonsultować z opartym o kwiecistą poduszkę bratem. Historia nabiera tempa. – Postanowił jednak uratować syna, a wraz z nim przyszłość całego królestwa. Okrucieństwo Zabaka pogrzyżyło kraj w ciemnościach tak gęstych, że drzewa przestały kwitnąć, a wiosna na dobre go opuściła. Przed opuszczeniem wioski Karwe przekazał przyjacielom, że jeśli zdoła uratować syna, to wracając z zamku, rozpali ogień na znak zwycięstwa. Zabak, nawykły do widoku ojców, którzy odprowadzali swych pierworodnych, nawet nie podejrzewał zamachu. Ale kowal, zamiast oddać syna, wprawno ręką użył młota. Walił Zabaka w głowę tak mocno, że iskry bijące spod młota wznieciły w komnacie pożar. Pałac zniemawidzonego władcy stanął w płomieniach, a poplecznicy króla uciekli w popłochu. Łunę zauważyli okoliczni mieszkańcy i niebawem również na wzgórzach zapłonęły ognie. Wieść o zwycięstwie nad Zaha-

– Dawno temu w moim kraju panował okrutny król Zabak. Jego poddani żyli w trwodze i ucisku, a każdego dnia przed oblicze tyrana sprowadzano młodzieńca. Nękanymi różnymi chorobami, despota wierzył, że spożywanie mózgow młodych poddanych



kiem poszła w świat. Kawe zebrał rodaków przy ognisku; świętowanie trwało do bladego świtu. A raniem do Kurdystanu zawitała wiosna. Nastal Nowy Rok.

UROCZYSTOŚCI KU CZCI LEGENDY

Opowieść Dilshada to skrócona wersja legendy, krążącej po ziemiach dawnego imperium perskiego. Mityczny Kawe miał przybrać imię Ferudin i panować przez kolejne 500 lat.

Skończywszy opowieść, Dilshad rozkłada na wzorzystym dywanie plastikowy obrus. Podłoga zapełnia się miseczkami, talerzami i tackami. W powietrzu unosi się aromat grillowanej ryby – przypomnienie, że jezioro Midanki jest niedaleko. Naczynia zapełniają się marynowanymi oliwkami, mielonym tymiankiem z ziarnem sezamowym – zatarem – i gęstym jogurtem. Z telewizora dobiega muzyka kurdyjska. To kanały z sąsiedniej Turcji przypominają obchody Newroz z ubiegłych lat. Nadchodzący wieczór to czas spotkań rodzinnych. Wzajemne wizyty, gra w karty, niekończące się herbaty, kawy i yerba mate. Kurdowie, jako biesiadnicy, są niezmordowani.

Newroz to kurdyjski Nowy Rok. Przypada na 21 marca i zbiega się z równonocą wiosenną. Noworoczne obchody odbywają się między 18 a 24 marca. Newroz najintensywniej obchodzony jest na terenach dzisiejszego Iranu, Iraku i Turcji, ale pamięta się o nim wszędzie tam, gdzie niegdyś sięgały granice imperium perskiego. Przypatrując się uroczystościom i życiu Kurdów w tym świątecznym okresie, można odnieść wrażenie, że Newroz to nie tylko Nowy Rok, ale też odpowiednik naszego pierwszego dnia wiosny i Nocy Świętojańskiej, razem wziętych. Mamy tu ogniska, kult odrodzenia, muzykę, taniec i uroczyste posiłki. Odszytne stroje i śmiałe eksponowanie zakazanych symboli narodowych Kurdystanu. Spektakl zaczyna się w wigilię Newroz.

NOWOROCZNA NOC ŚWIĘTOJAŃSKA

W noc poprzedzającą Newroz, przy skrzyżowaniu dróg nieopodal wsi Shah Khourez, płonie ognisko. Zgodnie z tradycją świętuje przy nim cała wieś. Mężczyźni tańczą w kręgu, trzymając się za

SYLWESTER W MARCU

Roztańczona noc poprzedzająca nadejście Nowego Roku robi się jasna od ognisk palonych na ulicach. Tu na wjeździe do wioski Shah Khourez.

ręce. Takich ognisk płoną w Kurdystanie tysiące. Już w okolicy Shah Khourez można ich naliczyć kilkadziesiąt. Dla narodu bez państwa to okazja do dania świadectwa jego kulturze i aspiracjom.

Z otwartego na oścież samochodu dobiega muzyka; basy podkreślono do granic możliwości. Wkoło biegają chłopcy z telefonami komórkowymi, filmując tańce i płomienie. Wirują w tańcu różańce tesbich, których paciorki oznaczają 99 atrybutów – imion Allaha.

Jandar opowiada nam o dzisiejszej sytuacji Kurdów. W kilka minut zwięźle przedstawia bolączki i akty niesprawiedliwości, jakich na co dzień doświadcza jego naród na terenach od Afrin po Qamishlo na wschodzie Syrii. Kurdowie stanowią 10% ludności Syryjskiej Republiki Arabskiej. Mimo to, w szkołach wcale nie uczy się kurdyjskiego. Kurdom odmawia się wydawania syryjskich dowodów tożsamości, czyniąc z nich bezpaństwowców. We własnym kraju mają status uchodźców. Do tego dochodzą przesiedlenia na tereny pustynne i represje za działalność polityczną lub kulturalną – wszystko to składa się na tragiczny los Jandara oraz prawie dwóch milionów jego rodaków. Ale tego wieczoru nikt się nie smuci. Newroz daje nadzieję i poczucie wspólnoty. Noc nieprędko się skończy, a świętowanie dopiero się zaczyna.

UCZTA O PORANKU

Ten świąteczny poranek Hamooda zaczyna się od czarnej kawy, kilku papierosów i życzeń Szczęśli-

wego Nowego Roku – *Newroz Piroz Be*, złożonych sąsiadowi, przechodzącemu ze stadem owiec. W tym czasie żona Hamooda, Yasmine, wraz z matką i żonami jego braci, przygotowuje śniadanie. Panowie zajmują się samochodami. Dokładnie czyszczą lusterka, spod plandek wyciągają wszystko, co zbędne. Pietyzm, z jakim to robią, przywodzi na myśl drobiazgowe przygotowanie koni i wielbłądów przed wyruszeniem na daleki kupiecki szlak. Ale Hamood i jego trzej bracia to nie przewodnicy karawan i kupcy, a mechanicy samochodowi z Aleppo.

Drzwi do głównej izby nadal są zamknięte. Kobiety budzą dzieci, siekają pietruszkę na świąteczną sałatkę tabouleh. Niebawem zacznie się śniadanie. Wszystkie dania, rozłożone na ceracie, są świeże, przeważnie przygotowane na miejscu. Jest pachnący hummus – pasta z ciecierzycy – nakładana na ciepłe pieczywo. Są miseczki ze świeżą oliwą, w której macza się chleb. Stoją czarki z różnymi odmianami zataru – mieszanki tymianku, sumaku i sezamu. Jest też biały kozi ser, a rarytas stanowią obtoczone w pieprzu soczyste kawałki kurczaka. Dobre trawienie zapewni kwaśny jogurt. Na deser wszystkim poda się kawę, herbatę i słodkie daktyle.

Po śniadaniu, kobiety składają aluminiowe misy, szklanki i plastikowe talerzyki, mężczyźni okupują jedyne lusterko, wiszące przy kraniku na ścianie budynku. W smoliście czarne włosy wcieraają kleisty żel. Newroz to okazja, by ubrać się odświętnie. Kolorowe materiały, błyszczące dodatki, wyrazisty makijaż i Yasmine wygląda olśniewająco.

NAD JEZIOREM MIDANKA

Czy wśród życzeń noworocznych są też te, których nie chciałoby słyszeć rządy Syrii, Iraku, Iranu i Turcji, między które podzielone jest terytorium Kurdystanu?



Lada moment cała rodzina, trzema samochodami ruszy nad Midanki, na główne uroczystości święta Newroz. Dzieci bawią się w chowanego, mężczyźni czekają na dopieszczające swoje kreacje kobiety, młodzież pakuje to, co niezbędne do świętowania. Do samochodów trafiają zwinięte dywany, obrusy, garnki z gotowymi potrawami i butle gazowe.

Już prawie południe; radosna karawana rusza nad jezioro. Na trasie mnóstwo trąbienia i przyjaznych gestów, w to samo miejsce jadą tłumy! Po drodze Hamood zatrzymuje się na cmentarzu.

MEGAPIKNIK NA SKRAJU JEZIORA

Droga jest zakorkowana setkami pojazdów, od traktorów po białe bmw. Midanki to dziś enklawa kurdyjskości. Nad jeziorem czeka już drewniana scena. Ponad głowami ludzi powiewają czerwono-biało-zielone flagi ze złocistym słońcem. Ogromny krąg, zamykający się wokół sceny, liczy dziesiątki tańczących. Na policzkach wymalowane mają barwy Kurdystanu. Ktoś w tłumie podnosi podobiznę bohatera narodowego – Barzaniego.

W najlepsze trwa gigantyczny piknik. Dywan przy dywanie, a obok nich grille, kuchenki gazowe i mnóstwo jedzenia. Powietrze przesycone jest zapachem szisz kebabów i kminu rzymskiego, którym są posypywane. Kolorowe stroje kobiet kontrastują z ziemistymi tonacjami męskich ubrań. Wzrok przykuwa młodzież, udekorowana barwami narodowymi, radosna, w wirze zabawy. Nad taflą jeziora Midanki niesie się zgiełk klaksonów sygnalizujących przyjazd kolejnych biesiadników. Hałas potęgują: klaskanie, odgłosy bębnów daf i występy popowej gwiazdy, Jana Boro.

Nad jeziorem jest też Jandar, który nocą świętował w Shah Khourez. Przyjechał z braćmi i całą grupą znajomych na naczepie ciągnika. Jest z nim kuzyn, który dwa lata spędził w więzieniu za to, że w Newroz szedł przez stolicę prowincji Aleppo z zapaloną świeczką. Został wydalony z uniwersytetu, stracił pracę. To zmusiło go do handlu przemycanymi z Turcji ubraniami. Jego znajomi chętnie pokazują mi zapisane w telefonach linki do stron związanych z kurdyjskim ruchem narodowym.

Nad Midanki przyjeżdża sporo gości z Aleppo. Reavan mieszka i pracuje w hotelu niedaleko bazaru. Newroz jednak woli spędzać tutaj, wśród

ŚNIADANIE NOWOROCZNE

Hummus, zatar, kozi ser, kwaśny jogurt, tabouleh....potem jeszcze deser.



**WESELMY SIĘ
I RADUJMY SIĘ DZIŚ!
Dziś! Dziś! Dziś!**

swoich. Według niego, w Aleppo nie ma atmosfery do świętowania. Ucieszyło go, że nad jeziorem nie widać agentów służb bezpieczeństwa. To uboczny skutek konfliktu między reżimem Assada a domagającym się swobód społeczeństwem. Syryjscy Kurdowie, nieprzychylni rządowi, stanowią na tyle poważną siłę, że w tak napiętym okresie lepiej ich nie prowokować. Zresztą, czy żądania Kurdów są wygórowane? Zasadniczo, chodzi im o zrównanie w prawach z arabską populacją Syrii.

Po drugiej stronie jeziora, w Jamu, też stoi scena. Też są tańce, dywany i tysiące ludzi witających nadejście wiosny. Jest już późne popołudnie. Ktoś

z tańczących na brzegu powiewa żółto-zielono-czerwono-białą chustą. Dilshad akurat spotkał wędrowca zabłąkanego w tłumie. Zabierze go do domu swojego ojca i tam, oparty o chłodną ścianę, z gorącą herbatą w dłoni, opowie mu legendę o Newroz. ◉

**WESELMY SIĘ
I RADUJMY SIĘ DZIŚ!
Dziś! Dziś! Dziś!**



FOT. MACEJ J. MOSKWA



FOT. MACEJ J. MOSKWA



FOT. MACEJ J. MOSKWA

KONKURS!

Poznaj Świat

Wydawca Miesięcznika „Poznaj Świat” wysyła w świat trzech najlepszych autorów!
Wręcza globus,

10 tysięcy złotych

i oczekuje relacji z wyprawy.

Co należy zrobić, by znaleźć się w tym gronie? Zasady są proste.

1. Należy przesać do redakcji Miesięcznika „Poznaj Świat” ciekawy tekst, będący zapisem własnej podróży odbytej w okresie styczeń 2011 – styczeń 2012.
2. Dołączyć fotografie z wyjazdu.
3. Uzyskać publikację tego tekstu w Miesięczniku „Poznaj Świat” w jednym z numerów, który ukaże się od września 2011 do lutego 2012. W tym celu należy przejść procedurę kwalifikującą tekst do publikacji przez Redakcję oraz zawrzeć z Wydawcą umowę. Autorzy zamieszczonych artykułów otrzymają wierszówkę wg stawek ustalonych przez Wydawcę.
4. Poddać się osądowi Czytelników, którzy w marcu 2012 wezmą udział w internetowym głosowaniu na trzy najlepsze artykuły publikowane w Miesięczniku „Poznaj Świat” w okresie wrzesień 2011 – luty 2012.
5. W głosowaniu Czytelników zdobyć jeden z trzech najlepszych wyników.
6. Zgłosić się do Wydawcy, ustalić z nim termin i kraj wyjazdu.
7. Odebrać globus i 10 tys. złotych.
8. Napisać dla Miesięcznika "Poznaj Świat" ciekawą relację z podróży.

warunki konkursu:

W Konkursie nie biorą udziału osoby stale współpracujące z Miesięcznikiem „Poznaj Świat”.
Ich nazwiska podane są na naszej stronie internetowej www.poznaj-swiat.pl w zakładce „Autorzy”



FOT. SHUTTERSTOCK

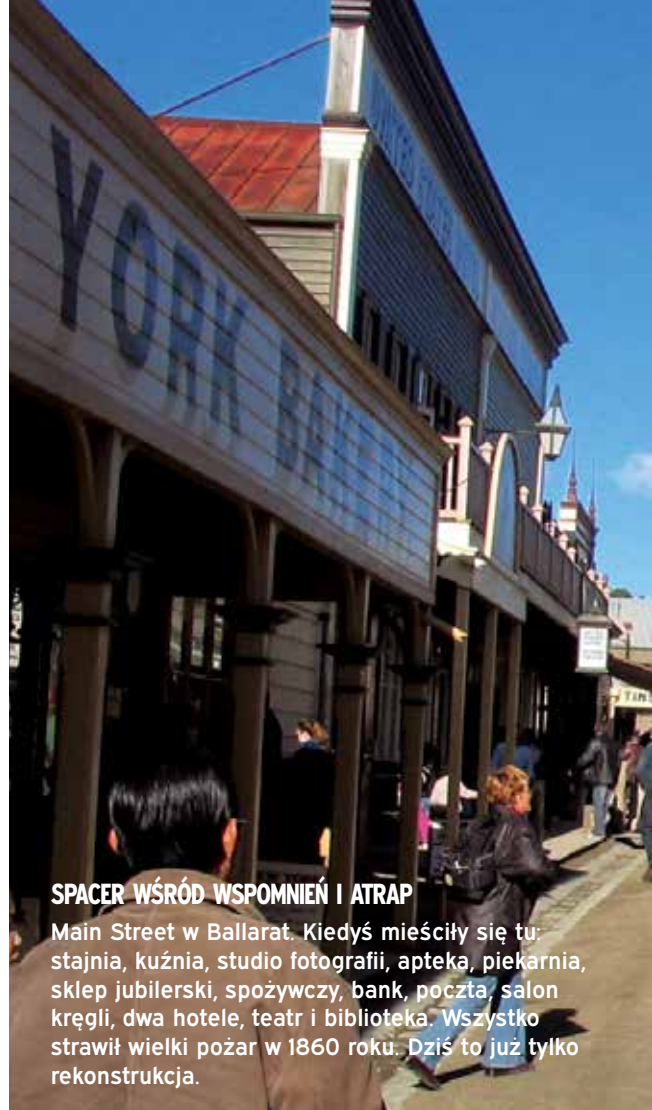


AUSTRALIJSKIE ZŁOTO

Przemysław Płuciennik

KREW NA KRZYŻU POŁUDNIA

Niedzielny poranek w miasteczku jest cichy, na ulicach pustki. O godzinie 10 wszystko zmienia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Do miasteczka przybywa wtedy złoto. Żywe złoto. O tej godzinie otwierana jest kasa biletowa i na uliczki zabytkowej osady wylewa się tłum turystów oraz poprzebieranych aktorów. Witamy w Sovereign Hill.



SPACER WŚRÓD WSPOMNIEŃ I ATRAP

Main Street w Ballarat. Kiedyś mieściły się tu: stajnia, kuźnia, studio fotografii, apteka, piekarnia, sklep jubilerski, spożywczy, bank, poczta, salon kęgli, dwa hotele, teatr i biblioteka. Wszystko strawił wielki pożar w 1860 roku. Dziś to już tylko rekonstrukcja.



Wiktoriańskie złotonośne pola to miejsca w Australii szczególne. Żeby zrozumieć, jak ważna w historii tego młodego narodu była gorączka złota, trzeba cofnąć się do Melbourne roku 1851. Było to wtedy niewielkie, 30-tysięczne portowe miasto, położone na peryferiach Nowej Południowej Walii, daleko od Sydney – ówczesnego centrum kolonii. Właśnie w 1851 roku udało się uniezależnić od „centrali” i Melbourne zostało stolicą nowej kolonii, nazwanej na cześć panującej królowej – Wiktorii. Nikt wtedy nie przypuszczał, że następne kilka miesięcy zmieni cały kraj i nowa kolonia Wiktorii bardzo szybko przestanie być biedniejszą siostrą Nowej Południowej Walii.

Historia przyspieszyła: 1 lipca Melbourne świętowało utworzenie kolonii Wiktorii, której oczywiście zostało stolicą, a 7 lipca niejaki James Essmond znalazł złoto w Clunes. W kolejnych tygodniach zachęceniu sukcesami poszukiwacze odnaleźli je w miejscowościach: Warrandyte, Ballarat, Castlemaine, Bendigo, Bright, Omeo, Walhalla...



EUREKA! ZŁOTO!

W Melbourne zapanowała euforia. Kto miał siły, natychmiast jechał szukać złota. W pierwszych tygodniach gorączki miasto wyludniło się, jednak już wkrótce zaczęli do Wiktorii przybywać nowi poszukiwacze, zarówno z innych kolonii australijskich, jak i z zagranicy. To wydarzenie zakończyło pewną epokę w dziejach Australii, rozpoczętą w 1788 r. utworzeniem angielskiej kolonii karnej w Sydney. Londyn nie mógł już przecież przysyłać więźniów do miejsca, gdzie wielu ludzi chciało przebywać jak najbardziej dobrowolnie. Wkrótce całkowicie zaniechano zsyłek do Australii.

W kolejnych latach Melbourne zmieniło się nie do poznania. Liczba mieszkańców wzrosła lawinowo, a miasto stało się głównym centrum finansowym i przemysłowym antypodów, uzyskując przydomek „Marvellous Melbourne”. Wtedy właśnie ustalili się w Australii istniejący do dzisiaj dwubiegunowy układ największych, rywalizujących ze sobą ośrodków miejskich: Melbourne i Sydney.

Schemat postępowania przeciętnego marzyciela był następujący: poszukiwacz szczęścia przybywał do Melbourne, udawał się na pola złotonośne i wybierał sobie wolną działkę, gdzie – jak wierzył – znajdzie złoto. Żeby móc zacząć kopać, musiał jednak wykupić licencję na poszukiwanie, której cena wynosiła początkowo 30 szylingów, ale szybko wzrosła do 8 funtów, co w owym czasie było sumą znaczącą. Zapłacić trzeba było niezależnie od tego, czy się złoto znalazło czy też nie. Dla wielu górników koszt licencji był zbyt wysoki. Niezadowolone narastało i ekplodowało zbrojną rebelią, zakończoną bitwą o Eureka Stockade stoczoną w mieście Ballarat 3 grudnia 1854 r. między górnikami a siłami policji

DORODNY SAMORODEK

Bryła złota znaleziona tutaj w 1858 roku jest drugą co do wielkości na świecie. Waży 69 kilogramów, wartych dziś 12,5 miliona złotych.



AUSTRALIA

Prawdziwym odkrywcą złota w Australii był... Polak. Sir Paweł Edmund Strzelecki znalazł złoto w Górach Błękitnych koło Sydney już w 1839 roku, czyli jeszcze przed odkryciem Góry Kościuszki, a całe 12 lat przed początkiem gorączki w Wiktorii. Ówczesny gubernator Nowej Południowej Walii, Jerzy Gipps, z jakiegoś powodu bał się rozpetania gorączki złota i poprosił Polaka o zatajenie tego odkrycia.

i wojska (Eureka jest dzielnicą Ballarat, „Stockade” to palisada, którą buntownicy wzniesli podczas konfliktu). Bitwa była krótka i nierówna, zginęło 22 górników i 6 policjantów.

Jedną ze znaczących postaci w czasie konfliktu był Polak, Władysław Kossak, brat znanego malarza Juliusza. Kossak dowodził w czasie rebelii szarżą policyjnej kawalerii. Jednak już kilka lat po stłumieniu powstania górników, Władysław Kossak sam został... powstańcem. Wyruszył do Polski na wieść o wybuchu powstania styczniowego. Po jego upadku wrócił jednak do Australii i też próbował swoich sił jako poszukiwacz złota. Zmarł w Melbourne w 1918 roku, kilka miesięcy przed odzyskaniem niepodległości przez Polskę. Pochowany jest na cmentarzu w Springvale.



WYPŁUCZ SOBIE ZŁOTO

Ballarat to, wg danych z roku 2010, miasto liczące 96 tys. mieszkańców. Położone 120 km na zachód od Melbourne może w porównaniu do 4-milionowej stolicy stanu wydawać się małe, ale jest drugim co do wielkości śródlądowym miastem stanu Wiktorii. Pamiątką po gorączce złota

CZERWONE KUBRAKI ZNÓW W AKCJI

W 1854 roku żołnierze kolonialni krwawo stłumili bunt górników rozwścieczonych rosnącym kosztem licencji na wydobywanie złota. W skansenie można obejrzeć rekonstrukcję tych wydarzeń.



i głównym magnesem turystycznym miasta jest Sovereign Hill, skansen będący rekonstrukcją Ballarat z roku 1854. Można się tutaj przejść uliczkami starej osady, zajrzeć do licznych sklepików, w których przebrani ekspedienty sprzedają „towary z epoki” (ceny podane są zarówno w dolarach australijskich, jak i w ówczesnych funtach). Moż-



ZEJŚCIE DO ŻŁOTYCH PODZIEMI

W Ballarat są dwie kopalnie złota udostępnione do zwiedzania, a w nich kilka podziemnych korytarzy. Na powierzchni zbudowano maszynę parową do pompowania wody i przetwarzania wydobytej rudy.

na obejrzeć wnętrza domów, hoteli, salonu do gry w kręgle, napisać w szkole klasówkę prawdziwym piórem maczany w kałamarzu lub wejść do kościółka metodystów. No i można zejść na chwilę do kopalni złota.

Wiarygodność rekonstrukcji zwiększają przebrani w XIX-wieczne stroje pracownicy i wolontariusze przechadzający się po miasteczku, jakby w ogóle nie zauważali turystów.

Każdy może wziąć miskę i spróbować szczęścia w płukaniu. Naprawdę można znaleźć złoto! Dbają o to pracownicy skansenu, którzy regularnie dosypują do piasku małe złote wiórki.

W miasteczku, oprócz wielu XIX-wiecznych domów, ustawiono także sporo namiotów. Uświadomiłem sobie, że mieszkali w nich ludzie (ci biedniejsi), a przecież zimowe noce w Ballarat potrafią być naprawdę chłodne, temperatura spada do 2-3 stopni poniżej zera.

Po zapadnięciu zmroku i zakończeniu zwykłych godzin zwiedzania, obejrzeć można przedstawienie światła i dźwięk „Blood on the Southern Cross”, przedstawiające przebieg zbrojnego powstania kopaczy złota przeciwko rządowi kolonii Wiktoria.

ZEJDŹMY JESZCZE GŁĘBIJ. PO ŻŁOTO!

Główną atrakcją turystyczną z epoki gorączki złota jest Ballarat, jednak najwięcej kruszcu wydobywano gdzieś indziej. W niedalekim Bendigo mniej było samodzielnych „kopaczy”, ale kopalnie były znacznie głębsze, a wydobyte na skalę przemysłową znacznie przekraczało ilość złota pozyskiwaną w Ballarat. Z czasem, z powodu znacznej głębokości i kłopotów z zalewającą chodniki wodą zaprzesta-

no wydobywania. Dziś nowe technologie pozwalają na snuć planów jego wznowienia, ponieważ złoża złota nie zostały wykorzystane jeszcze nawet w połowie.

Kopalnia złota „Central Deborah” w Bendigo jest obecnie wykorzystana tylko turystycznie. Można zjechać na dół z przewodnikiem pokazującym dawne metody wydobywania i zwiedzić kopalnię (łącznie z próbą wypłukania drobin złota z dostarczonego w tym celu złotego gruzu).

Bendigo położone jest 150 km na północ od Melbourne. Jak większość australijskich miasteczek zachwyca czystością, dużą ilością zieleni, błękitem nieba. Tym, co je wyróżnia, jest mnóstwo



W WIKTORIAŃSKIM STYLU

Bendigo wyrosło z „miasta namiotów” i stało się znaczącym ośrodkiem finansowym. Najwyższym budynkiem w mieście pozostaje jednak Katedra Najświętszego Serca.



FOT. PRZEMYSŁAW PŁUCIENNIK

wiktoriańskich budynków nadających mu unikalny, jak na Australię nastrój. Nad miastem króluje położona na wzgórzu wspaniała katolicka katedra Najświętszego Serca, jedna z największych w Australii.

Ballarat i Bendigo są miastami, którym poszukiwacze złota zapewnili sukces. Jednak nie w każdym przypadku historia obeszła się tak łaskawie z powstającymi jak grzyby po deszczu miasteczkami i niektóre z nich nie przetrwały próby czasu.

BEZ ZŁOTA I PRĄDU

Jednym z ciekawszych, a przy tym najmniej znanych osiedli poszukiwaczy złota jest położone jedynie 90 km na zachód od Melbourne Steiglitz. W szczytowym okresie swojego rozwoju liczyło

ono około 2500 mieszkańców. Działo tu sześć hoteli (przy czym to słowo oznacza w Australii... pub), piekarnia i dwa kościoły. Wydawano też lokalną gazetę. Jedynym powodem istnienia miasta było złoto. Szybko okazało się, że jego zasoby na powierzchni są niewielkie i żeby zarobić trzeba kopać głębokie szyby. Robiono to ze zmiennym szczęściem przez kolejnych kilkadziesiąt lat. Jednak i te złoża powoli się kończyły i ostatnią kopalnię złota zamknięto w 1941 r.

Mieszkańcy stopniowo opuszczali Steiglitz. Dziś jest ono miastem widmem, ostatnią miejscowością w Wiktorii wciąż niepodłączoną do prądu. Mieszka tu zaledwie kilka osób.

Wycieczkę do Steiglitz można połączyć ze spacerem po pobliskim parku narodowym Brisbane Ranges, na którego szlakach mija się mnóstwo starych szybów kopalnianych.

MYŚL CENNIJSZA NIŻ ZŁOTO

Podobny los o mało nie spotkał położonego na wschód od Melbourne miasta Walhalla. Jednak korzystne turystycznie położenie przyciągnęło tu inwestorów. Odtworzyli oni co się dało z dawnej historii miasta. Odbudowali drewniane hotele i restauracje, uruchomili ponownie parową kolejkę łączącą miejscowość ze światem. Zbudowali też asfaltową drogę, która wijąc się serpentynami po alpejskich zboczach jest świetną turystyczną atrakcją. Walhalla to prawdziwa perełka. Miasteczko położone jest w przepięknej górskiej dolinie, znajdującej się na zboczu Masywu Baw Baw, najbliższej Melbourne części Alp Australijskich. ○



FOT. PRZEMYSŁAW PŁUCIENNIK

STAN POGORĄCZKOWY

Wraz z wygaśnięciem gorączki złota wygasło też niejedno domowe palenisko.



Incredible India

Endless holiday

Discover a world full of magic and mystery

www.incredibleindia.org
www.india-tourism.com

India Tourism Frankfurt
info@india-tourism.com





FOT. SHUTTERSTOCK

Zatrzymali się na poboczu drogi. Albert trzasnął drzwiczkami i oparł się plecami o kabinę. Kenneth i Banana zostali w szoferce. W otwartej części wozu leżały instrumenty miernicze, łopata i dwie pary gumowego obuwia. Była to droga ubita, rzadko uczęszczana. Oddzielała uprawne pola farmerskie od nieużytków porośniętych trzcinami. Dalej kurz zacierał wzgórze na horyzoncie, i tam rozciągało się Soweto. Tysiące domków, których kuchnie dymiły, a przejeżdżające ulicami autobusy podnosiły szary pył.

Kenneth i Banana siedzieli nieporuszeni, czekali. Obaj pochodzili z Zululandu i tam przeszli inicjacje, jakie przystoją, aby stać się Zulu-impji, czyli zuluskim wojownikiem. Umieci walczyć na maczety, dzidy i tarcze, ale tu, w okolicach Soweto, walczone na noże i rewolwery, tam o narzeczoną, albo pastwisko, tu o łup. Dlatego nie spieszyli się, by opuścić bezpieczne wnętrze samochodu i zapuścić się w trzcinę.

Albert oceniał swoje szanse dostania się do środka tych niezmiernych jeszcze nieużytków. Wiadomo było, że idąc w kierunku Soweto powinni trafić na rzeczkę, która o tej porze roku była sucha, a w sezonie deszczowym zbierała wilgoć z szeroko rozciągniętych bagien, aż do samego osiedla.

– *Znajdziemy drogę?* – zapytał Albert.

– *Znajdziemy* – odpowiedzieli obaj i wyszli z kabiny na słońce. Pracowali razem od lat i stanowili dobrze zgraną ekipę. Tak, oni też tak oceniali, w tej okolicy powinna

być zarośnięta i teraz mało widoczna droga, prowadząca do Soweto, używana dawno temu przez ludzi i wozy.

Teren był suchy, raz po raz trafiali na czarne pogorzelska, spalone łodygi kukurydzy i ślady po ogniskach – nocami biesiadowali tu bezdomni. Teren łagodnie opadał w kierunku Soweto. To były niezbadane okolice, jedno wiedzieli, że środkiem w porze deszczowej płynęła rzeczka i to do niej powinni dojść i poprowadzić ciąg niwelacyjny. Na rezultaty czekali hydrologi, głównie chodziło im o różnicę wysokości pomiędzy farmerskimi polami, a rzeczka.

Albert kierował się prosto na Meadowlands, Wieżę Ciśnień, zbudowaną na skalnym urwisku w środku Soweto. Dalej przyprószone pyłem i ledwo widoczne na horyzoncie stały inne. Pył i popiół wisiały w powietrzu, cienkie pajęczyny rozpięte między trzcinami siadały im na twarzach.

Minęli spalony wrak samochodu, dziecięcy wózek bez kół i zardzewiałe żelazne łóżko. Odrzucili z drogi kartonowe pudło wypchane szmatami, potem drugie, pełne pustych butelek. Droga stała się równiejsza. Trafili na cuchnące jezioro i okalające je zielone krzaki. Tliło się tu życie, na trzcinach siedziało kilka ptaków.

Albert wyszedł z wozu i zbliżył się do jeziora. Mimo pozornej pustki, kilka par oczu obserwowało go, gdyż usłyszał chlupnięcia, a na tafli wody potworzyły się znikające kręgi.

Droga lekko unosiła się. Od lat była nieużywana i za-



Wojciech Albiński

TRZCINY

rosła młodymi pędami trzciny. Łatwe do wycięcia albo zgniecenia szerokimi oponami terenowego land rovera. Już nie groziło im zapadnięcie w bagnie, na dwójce. Czasami tylko zatrzymywali się, włączali bieg terenowy i mogli bezpiecznie posuwać się do przodu.

Co planowali hydrologicy? Osuszenie tych dzikich pól? Nowe kolonie domków? A może okoliczni mieszkańcy skarżyli się, że napadają na nich tsotsi i że zbyt wielu gnieździ się tu bezdomnych? I te ognie, które rozpalają nocami... Gnane wiatrem płomienie przenosiły się na farmerskie pola, niszcząc plony, a po stronie Soweto podchodziły pod domy i lizały wybudowane z blachy i desek budy i składy.

Ale zanim planiści cokolwiek postanowią, potrzebne im będą mapy tych okolic, różnice wysokości i kierunki spadku terenu. I w tym była rola Alberta i jego ekipy.

– Powinni tu być jacyś ludzie... – rzekł Banana – Bezdomni... Ktoś tu mieszka... A my nie widzimy nikogo?

Ta pustka martwiła także Kennetha, źle wróżyła. Wysokie trzciny mogły pomieścić wielu ludzi szukających schronienia, dlaczego dziś nie było żywego ducha?

Kenneth był kilka lat starszy od swojego towarzysza. Miał już żonę, która często przychodziła do biura i przy okazji jednej z takich wizyt Albert mógł ją poznać. Rok temu umarła im mała córeczka. Zachorowała na biegunkę. Witchdoktor w Zululandzie zakazał podawania płynów. „Jak leci z dziecka to znaczy, że jest w nim za dużo płynów”, panowało przekonanie. Za drugim ra-

zem pomógł im Albert. Gdy zachorowała druga córeczka, posłał Kennetha i jego cicho rozpaczającą żonę do swojego „białego” lekarza, a ten polecił odwrotną kurację. Płyn, soki do woli, a także muti, takie jak przypisują biali doktorzy. Po dwóch dniach dziecko było ocalone.

Albert zatrzymał wóz, wyszli z kabiny, aby trochę się rozejrzeć.

– *Nie lubię tego miejsca* – rzucił Kenneth.

– *Ja też nie* – zgodził się Albert.

– *Ludzie są, ale ich nie widać...* – powiedział Banana – *czują dym... coś sobie gotują... Niedaleko.*

Suche trzciny, dwumetrowej wysokości rosły tutaj kępami i wyglądało, że są rzadsze, niż w pobliżu farmerskich pól. Za to droga stała się bardziej widoczna i sucha. Instykt mówił Bananie, że miejsce nie jest dobre.

Mówiono o nim, że jest oszczędnym młodym człowiekiem, zbiera na lobolo. Każdy wolny grosz z tygodniówki odkładał i przysyłał do Zululandu. Zbliżał się dzień, kiedy Banana zakupi kilka pięknych sztuk bydła i zaprowadzi je do krału ojca swojej wybranki. Obejrzą bydło, odbędą się długie narady, do późnej nocy będą siedzieli przy ognisku. Na naradach spędzą kilka wieczorów, aż ugoda będzie zapieczętowana i ustalony dzień ceremonii ślubnej.

Ujechali jeszcze sto metrów, a potem zatrzymali się przy stercie kamieni. Leżały na nich dwie jaszczurki, szybko się schowały. Kenneth zaproponował, że skoro już dalej dzisiaj nie pojedą, należałoby odwrócić land ro-

vera i ustawić go maską do drogi powrotnej. Miał rację i Albert postanowił sobie, że gdy tylko skończą wyjmowanie narzędzi, tak właśnie uczynią.

Wbili żelazny kołek między dwa kamienie i miejsce to oznaczyli białą farbą. Wyjęli niwelator z wozu i umieścili go na statywie. Dwie łąty miernicze wyjęli z pokrowców i umieścili na trawie. Tu zaczął ciąg niwelacyjny, najpierw pociągną go aż do farmerskich pól, a potem wrócą i pociągną go jak najdalej w kierunku Soweto. Oczywiście oba końce ciągu, a także to, gdzie to będzie możliwe po drodze, zaznaczą stałymi punktami i ponumerują.

– *Popatrz tam...* – usłyszał cichy głos Banany

– *Gdzie?*

Dzikie pola trzciny nie były tak bezludne, jak im się początkowo wydawało. Od strony Soweto szybko zbliżała się grupa młodych mężczyzn, za nimi biegła wataha chłopaków. Szli cicho... Czy chcieli swoim pojawieniem się zaskoczyć Alberta? Najstarszy mógł mieć dwadzieścia pięć lat... Zauważeni zaczęli biec w stronę land rovera. Po chwili Albert i jego ekipa byli otoczeni.

Młodszy chłopcy mieli maczety i potrzęsali nimi wojowniczo, starsi tsotsi noże. Tsotsi w czerwonej koszulce, wyglądający na przywódcę, trzymał dłoń schowaną głęboko w kieszeni, jakby chciał dać do zrozumienia, że ma tam pistolet.

– *Broń masz? Oddaj broń!* – wrzasnął któryś z napastników do Alberta.

– *Daj nam rewolwer!* – krzykali tsotsi.

Ten w czerwonej koszulce śledził każdy ruch Alberta, ten w zielonej bluzie wyjął nóż i niespokojnie obracał błyszczącym ostrzem. Kenneth i Banana rozkładali ręce i zapewniali, że nigdy żadnej broni ze sobą nie noszą...

– *Car keys! Daj nam kluczyki do land rovera!* – padło następne żądanie.

– *Kluczyki!* – sypały się ponaglenia. – *Kluczyki!*

– *Okey... Okey... Kluczyki mam w kieszeni...* – odparł Albert.

Tsotsi w zielonej bluzie błysnął mu ostrzem przed oczami. Albert nie chciał wykonywać szybkiego ruchu, aby nie uznali tego za próbę sięgnięcia po broń i nie zareagowali nerwowo. Gdy wreszcie dobył łańcuszek i dwa kluczyki, najbliższy stojący chłopak wyrwał mu je z dłoni.

Tsotsi w szarej koszulce przebiegł Albertowi po kieszeniach. Dobył prawo jazdy i rzucił mu je pod nogi. Albert postanowił, że podniesie je później. Jego pomocnicy też stali nieruchomo, Kenneth napił się wody z plastikowego pojemnika.

Tsotsi w czerwonej koszulce wsiadł do wozu i włożył kluczyki do stacyjki. Uruchoił silnik, gładko zmienił terenowe biegi. Gromadka chłopaków wskoczyła na tył samochodu.

– *Bye, bye!* – wołali do zostawionych w polu.

Sytuacja wyjaśniła się, wóz mieli w ręku.

– *Bye, bye* – Kenneth i Banana odpowiedzieli niechętnie.

– *Bye, bye...* – rozkrzyczana banda machała rękami.

Albert i jego ekipa czekali, aż tsotsi stracą ich z oczu. Przed tym nie chcieli zrobić żadnego ruchu. Nie cieszyła ich perspektywa długiego marszu przez trzciny, aż do głównej drogi. I to jeszcze niosąc na plecach łąty miernicze i statyw z niwelatorem. ○

kraal – domostwo

lobolo – suma pieniędzy, albo sztuk bydła, jaką narzeczoną powinien przekazać ojcu panny młodej, aby ceremonia małżeństwa mogła się odbyć.

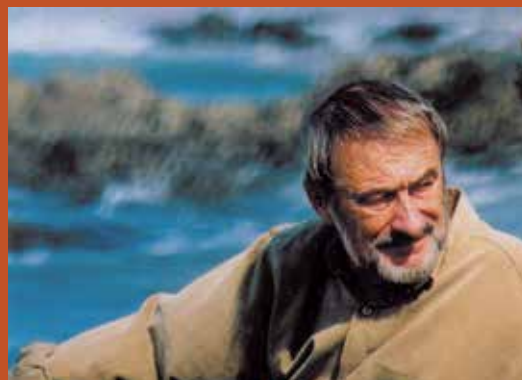
tsotsi – opryszek, chuligan

muti – lekarstwo

witchdoktor – plemienny znachor

Soweto – milionowe miasto zamieszkane głównie przez Afrykańczyków. Miasto leży w pobliżu Johannesburga.

○ Autorze...



Wojciech Albiński (urodzony w 1935 roku w Warszawie) od najmłodszych lat pasjonował się literaturą. Podczas studiów geodezyjnych na Politechnice Warszawskiej był jednym z założycieli pisma „Współczesność” – wraz ze Stanisławem Grochowiakiem, Ireneuszem Iredyńskim, Romanem Śliwonikiem – na jego łamach publikował swoje wiersze i opowiadania. Należał też do Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. W 1963 roku wyjechał za granicę, mieszkał w Paryżu, a później w Genewie, współpracował z paryską „Kulturą”. W roku 1969 wyjechał do Afryki, przez wiele lat pracował jako geodeta w Botswanie i RPA.

W 2003 roku opublikował w Polsce tom opowiadań „Kalahari”, który otrzymał nagrodę im. Józefa Mackiewicza i został nominowany do nagrody Nike. Od tego czasu Albiński wydał: „Królestwo potrzebuje kata” (2004), „Antylopa szuka myśliwego” (2006), „Lidia z Kamerunu” (2007) i „Achtung! Banditen!” (2009).



alpinus

Testowane przez:



Vertigo HTX

Legendarne dzięki trwałości i wygodzie podczas wędrowania w najcięższych warunkach...

Podeszwa zewnętrzna Vibram® Hiking bardzo przyczepna na kamienistym i mokrym podłożu, równocześnie odporna na ścieranie. Bieżnik podeszwy o grubej rzeźbie posiada właściwości samoczyszczące. Śródpodeszwa amortyzująca ICS doskonale sprawdza się w trudnych warunkach, docenisz ją zwłaszcza niosąc ciężki plecak. Cholewka wykonana z grubej, licowanej skóry o grubości 2,2mm w połączeniu z minimalną ilością szwów oraz laminowaną do podszewki sprawdzoną membraną Hydrotex® FXT skutecznie zabezpieczy twoje stopy przed przemoczeniem.



www.alpinus.pl

ALPINUS UBIERA POLSKĄ REPREZENTACJĘ WE WSPINACZCE SPORTOWEJ



Na dworcu autobusowym w senegalskim Ziguinchor od razu widać, który pojazd pojedzie do Gwinei Bissau.

Większość krajowych autobusów zdobią portrety proroka Bamby, napisy Alhamdoulillahi (Chwalmy Allaha!) i podobizny świętego meczetu w Toubie.





FOT. SHUTTERSTOCK

Jędrzej Czerep

SAMBA

na Czarnym
Łądzie

Gwinea Bissau, niepozorny kraj nad Atlantykiem, żyje własnym rytmem. W czasach kolonialnych był najsłabiej rozwiniętą zamorską posiadłością Portugalii. Właściwie pod jej kontrolą były tylko porty Bissau i Cacheu. Portugalczycy rzadko zapuszczali się w głąb lądu. Inaczej niż na niedalekich Wyspach Zielonego Przylądka – tu nie szukali bliższych kontaktów z miejscową ludnością.

Przez wiele lat głównym zadaniem tej portugalskiej kolonii było dostarczanie niewolników dla Nowego Świata. Szczególna więź między Gwineą Bissau a Brazylią trwa po dziś dzień, choć w innej

nim noszą się na modłę portugalskich elegantów sprzed 30 lat. Królują koszule w kwiaty i kapelusze. Z głośnika sączą się sentymentalne piosenki z Gwinei i Wysp Zielonego Przylądka. Ogromnie to odległe od obłędnie szybkiego mbalax, ulubionej muzyki senegalskich kierowców!

Mikrobus dociera do granicy Gwinei Bissau, oznaczonej sznurkiem przeciągniętym w poprzek jezdnii! Zbliża się do przeprawy przez rzekę Cacheu. Wysłużony prom podobno często się psuje. Komunikaty o tych awariach usłyszeć można w radio. Bo do czasu naprawy promu ruch między północą kraju a stolicą zamiera. Innej drogi po prostu nie ma. Mamy szczęście: lewy silnik jest na chodzie. Kapitan próbuje manewrować. Ustawia statek bokiem, podpływa kawałek w górę rzeki, pozwala nurtowi obrócić łajbę. Po jakimś czasie jednak ogłasza: – Za dużo ludzi na pokładzie! Na jednym silniku nie dojdę do brzegu. Na szczęście pojawiają się czółna gotowe za dodatkową opłatą zabrać pasażerów przeciążonego promu.

Droga do stolicy wiedzie przez skupiska dużych glinianych chat pokrytych słomą. Między drzewami czerwienieją gigantyczne kopce termitów. Tu i tam widzi się baobaby i nerkowce. Jeszcze przymusowy przystanek w wiosce Bula. Policjant prowadzi na prowizoryczny posterunek kierowcę i co lepiej wyglądających pasażerów. Nie obejdzie się bez symbolicznej łapówki. Ktoś przynosi oficerowi chińskie klapki. Inny biegnie z czerwonymi majtkami. – Proszę! To dla pańskiej żony. Spodobają się!

Szosa idzie tłum miejscowych – prawie cała wieś. Niektórzy niosą staromodne parasolki, inni okryci są strojami z liści. To Mandingowie, prowadzą chłopca na ceremonię obrzezania. Właśnie do Mandingów, wyznawców islamu, należała w średniowieczu dzisiejsza Gwinea Bissau. Stanowiła część ich imperium – Mali.

MUZYCZNIE I POLITYCZNIE

W XX wieku skończył się handel niewolnikami. Dla Lizbony znaczenie Gwinei przygasło. Ot, skrawek lądu, gdzieś w Afryce! To tu jednak zrodził się ruch, który rozmontował resztki portugalskiego kolonializmu. W 1956 r. Amilcar Cabral założył Afrykańską Partię na rzecz Niepodległości Gwinei i Wysp Zielonego Przylądka (PAIGC). Jego partyzanci szybko opanowali większość kra-



FOT. JERZEJ CZEREP

PORT W BISSAU

Miasto wraz z ufortyfikowanym portem u ujścia rzeki Gêba do Oceanu Atlantyckiego założyli Portugalczycy w 1687 roku.

formie. Największe państwo Ameryki Południowej funduje afrykańskim studentom stypendia na uczelniach Rio de Janeiro. Młodzi Gwinejczycy odkrywają, że za oceanem odprawia się te same rytuały magiczne, co w ich wioskach. Porzekadła przywołują tych samych bogów. Pokrewne są nawet nazwy stylów muzycznych. Od gumbé bardzo blisko do latynoskiej cumbii.

PRZEZ DROGI I WODY GWINEI

Na dworcu autobusowym w Ziguinchor wyróżnia się skromny, zielony mikrobus. Mężczyźni przy



FOT. EDUARDO CEREP

WICHRY WOJNY

Wojna domowa z lat 1998-1999 sprawiła, że stolica popadła w ruinę. Do dziś nie odzyskała dawnego blasku.

ju. Zyskali poparcie Kuby i państw bloku wschodniego. Niepodległość przysłała w 1974 roku, już po śmierci Cabrala, szybko uznanego za narodową ikonę i legendę, a także za wzór dla bojowników z Mozambiku i Angoli. Okres tuż po uzyskaniu niepodległości miejscowi wspominają z rozrzewieniem jako czas wielkich niespełnionych nadziei.

Nowoczesną historię Gwinei Bissau świetnie obrazują losy kultowego tu zespołu Super Mama Djombo. Założyło go czterech chłopców na obozie harcerskim. Najmłodszy miał zaledwie 6 lat. Zaczynali od grania po weselach w Bissau. Później zapragnęli zmienić wizerunek na bardziej afrykański. W nazwę wpleli imię kobiecego ducha opiekuńczego. Nawet nie przypuszczali, że w tym samym czasie odwoływali się do niego partyzanci PAIGC, ukrywający się po lasach. W roku odzyskania niepodległości do kapeli dołączył Atchutchi, który zaraził kolegów entuzjazmem dla nowej polityki. Swoją muzyką pomogli zdefiniować tożsamość nowego państwa – wolnego od wpływów portugalskich i dążącego do zjednoczenia. Ich teksty weszły do kanonu współczesnego języka kriol, tutejszej lingua franca. Zespół zapełniał stadiony. Towarzyszył w podróżach zagranicznych pierwszemu prezydentowi – bratu Cabrala, Luisowi. Kiedy po kilku latach władzę objęli nowi ludzie, dla wojującej kapeli zaczęło brakować miejsca w radiu. Muzycy rozwiązali ją w połowie lat 80., rozczarowani polityką.

przy granicy z Senegalem, ciągną się szerokie, dzikie jeszcze plaże. Może to tutejszy krajobraz, mający w sobie coś z Brazylii, sprawia, że Gwinejczycy dobrze czują się w Ameryce Południowej. Zresztą, afrykańsko-latynoska wymiana kulturowa działa w obie strony. Na ulicach Bissau, prawie jak w Rio, co roku przez cztery dni przed Wielkim Postem, szaleje karnawał. Ściągają reprezentanci wszystkich plemion, nawet z wysp archipelagu Bijagós. W kolorowych pochodach prezentują stroje i instrumenty. Jury nagradza najlepszych tancerzy, śpiewaków i aktorów festiwalu. Rywalizują też twórcy masek

ZANIM PRZYJDZIE BIEDRONKA

Handel obnośny bywa forpcztą hipermarketów. Tu alejka z nabiałem.



FOT. EDUARDO CEREP

LODY Z BAOBABU

Gwineę Bissau pokrywają gęste lasy i rozlewska wielkich rzek. Koło miasteczka Varela,



FOT. ADRIEL COSTA

TŁUMY TU NIE CIĄGNĄ
Wieki temu Bissau
było wielkim
ośrodkiem handlu.
Dziś podupadło,
a bieda i brak
pracy są czymś
powszednim.

z papierowej masy. Tę część karnawału najbardziej lubią dzieci. Do stworzenia niepowtarzalnej ozdoby trzeba tylko trochę gliny, papieru, kleju, patyków i farbek. Malcy całymi tygodniami mozolnie tworzą przebrania, w których potem paradują. Starszych porywa nocna hulanka w rytmach samby albo przebojów gwiazd z Senegalu. Artyści zza między takiej imprezy nie mogliby przegapić!

Po karnawałowej gorączce Gwineę Bissau ogarnia rozleniwienie. Nawet w stołecznym porcie wszystko zamiera. Trwa odpływ. Kutry rybackie i małe statki leżą w mule, cierpliwie czekając na wodę. Uliczki starej, kolonialnej części Bissau noszą ostatnie ślady dawnej chwały. Pastelowe farby i tynki mocno wyblakły. Wokół zabytkowej twierdzy ganiają beżpańskie psy. Po pałacu prezydenckim, wciąż noszącym znaki wojny domowej, latają nietoperze.

Z cokołu na jednym z placów spogląda Che Guevara, relikw epoki nie do końca tu minionej.

Lepiej sytuowani mieszkańcy Bissau przesiadają w zacienionych knajpkach w centrum miasta. Życie kwitnie na głównym rynku, Mercado Bandin. Można tam kupić lokalny przysmak – caba-seira, rodzaj lodów z mięszu owoców baobabu. Żimne grudki, rozplywające się w ustach, bardzo orzeźwiają. Mnóstwo jest wyrobów z nerkowca. Z jego owoców robi się wino, z liści pastę do zębów, a z samego orzeszka wyciska olej, podobno wyśmienicie zabezpieczający drewno przed termitami.

Bissau nie ma w sobie nic z niebezpiecznego miasta-molocha, w rodzaju Lagos czy Johannesburga. Nie ciągną do niego tłumy za pracą. Przeciwnie, tu jest trochę jak w miasteczku, w którym wszyscy się znają. Na tyle, na swój sposób, przytulnie, że dość prędko można się poczuć jak w domu. Nawet murszejące kamieniczki i znieruchomiełe statki zaczynają się podobać. Spowolnienie i rozleniwienie też ma swój urok. ○

www.logostour.pl
801 011 864

 *Logos Tour*
BIURO TURYSTYKI ZNP

Podróże po siedmiu kontynentach

Europa

Azja

Afryka

Australia

Ameryka Płn.

Ameryka Płd.

Antarktyda

Sprawdź naszą ofertę
ponad **150** tras
oferujących niezapomniane
przeżycia

TAJWAN –
FILIPINY

USA
(różne warianty)

AUSTRALIA –
NOWA ZELANDIA

ROSJA
(różne warianty)

UKRAINA
(różne warianty)

CHINY
(różne warianty)

RPA
(różne warianty)

ETIOPIA
(różne warianty)

EMIRATY ARABSKIE
(różne warianty)

WENEZUELA – EKWADOR
(+ Wyspy Galapagos)

MEKSYK
(różne warianty)

PODRÓŻE DLA KONESERÓW:

NOWY JORK

BRAZYLIA – ARGENTYNA – CHILE

Wojciech Łukasiewicz

BUTTERBRÖTCHEN I CZERWONA KAPUSTA

fragmenty listu
do siostrzenicy





FOT. ROMAN POLEK



Cieszę się, że Cię namówiłem. Teraz, chyba za karę, mam Ci zaplanować dwutygodniowe wakacje. Tobie i Twojemu narzeczonemu. Furę, jak mówisz, wypożyczycie sobie na lotnisku. W programie ma być wszystko, co najważniejsze. Samodzielnie, nie w stadzie turystów. Żebyście mogli, we dwoje, zostać na dłużej tam, gdzie jest pięknie i nie musieli pędzić za panem kierownikiem wycieczki. Rozumiem, młodość.

A ja mam usiąść nad mapą i wytyczyć trasę. Duża ta mapa, w końcu Namibia jest prawie trzy razy większa od Polski. Nie ma cudów, nie da się zobaczyć wszystkiego. Umówmy się, że odpuscicie sobie miejsca trudno dostępne i najbardziej odległe. W końcu nie można spędzać wakacji tylko za kierownicą. I po drugie: żadnego folkloru, żadnych pseudoetnograficznych wizyt we wioskach ludów

San czy Himba, bo to nie są małpy na wybiegu. Takie zwiedzanie to praktyka obustronnie upokarzająca. Nawet bardziej, pożałuj Boże, „turystę”.

Kiedyś poproszę Cię o zaplanowanie mi dwutygodniowego rajdu po Polsce, z „wszystkim, co najważniejsze”.

No dobrze, polecicie najpierw przez Kapsztad do Ai Ais. To niezła propozycja: zacząć męczącą wędrówkę od dwóch dni wygrzewania tyłka w siarkowych wodach z gorących źródeł, miło śmierdzących chlorem i siarką. Dobre żarcie, baseny, jacuzzi, luksus. I tylko jedna wycieczka tą wypożyczoną furą: do kanionu Rybiej Rzeki.

Większy jest, jak mówią, tylko kanion Kolorado. Ale ten też jest duży: długi na 150 kilometrów, widoki naprawdę niesamowite. Wzdłuż meandrów rzeki biegnie ambitny, kilkudniowy szlak pieszy. Wędrówki wzdłuż Fish River są jednak latem zabronione, bo ciepło się tam robi, jak w kalifornijskiej Dolinie Śmierci. Napatrzcie się, posnujcie wedle punktów widokowych i nie dajcie się porwać stadu pawianów.

Kanion jest, zdaniem uczonych geologów, produktem strasznych trząsków, jakich doznawała skorupa ziemska, gdy świat się rozpadł na kawałki, czyli kontynenty. Żeby zobaczyć inny rezultat tych samych trząsków, trzeba opuścić „płonące wody”



Teraz już do Windhuku

Ai Ais i pojechać całkiem niedaleko, w rejon Ketmanshoop. Tam zobaczycie „giants playground”: wielkie skalne klocki poukładane przez naturę jeden na drugim. Inna porcja takich klocków jest w Zimbabwie, ale Tobie mogą przyjść na myśl skojarzenia z kamiennymi dziwadłami w Utah.

Jest i ważniejszy powód, by jechać w tamtą stronę. Zaraz obok jest niewielki lasek, rośnie w nim kilkaset drzew, które są symbolem Kalahari. Nie wiem, jak przetłumaczyć „quiver tree” na polski. Z gałęzi tego aloesu buszmeni robili kołczany, w których trzymali strzały (a jakże, zatrute!). Drzewa są całkiem potężne, o tłustych, wielkich liściach i cylindrycznych, żółtych kwiatach. Najpiękniej jest, kiedy kwitną. Następuje to raczej zimą, a Ty się uparłaś zwiedzać Namibię latem. Już ostrzegałem, że się usmażysz. Lokalni twierdzą, że drzewa mają po tysiąc lat i ja im wierzę, chociaż naukowcy mówią, że to nieprawda.

Niespecjalnie po to, żeby zwiedzać stolicę Namibii, chociaż połączyć po mieście można. W górskim klimacie upał tak człowieka nie morduje. Windhuk jest, powiedzmy, na wysokości Johannesburga czy Babiej Góry. Poniemieckie zabytki, głównie kościoły i fortelice z epoki Wihelma II, są nudne i ciężkawe. Miasto położone jest na skrzyżowaniu wszystkich ważnych dróg. Za to wyśpicie się w porządnym hotelu z polem golfowym.

Z Windhuku pojedziecie nad Atlantyk, do miasta u ujścia rzeki Swakop. Dziesięć, może więcej, kilometrów przed brzegiem oceanu można wyłączyć klimę i otworzyć okna. Gorąc ustąpi, owieje was zapach chłodnej bryzy, znany znad Bałtyku. Ten przyjazny klimat zawdzięczamy Bengueli, która wytraci swój bieg dopiero u brzegów Angoli. Tylko nie narzekaj, że woda w morzu za zimna na kąpiele.



PONAD FISH RIVER

Czasem trzeba trochę podejść góorskimi ścieżkami.

SKELETON COAST

Miejsce, które Bóg stworzył w gniewie.



FOT. ROMAN POLEK

Swakopmund powinno Cię uwieść architekturą secesyjnych kamienic i willi, całkiem jak z Sopotu. Kiedy w hotelowej restauracji zamówicie już na śniadanie jajka na miękko, to wciąż jest możliwe, że czarny kelner zada wam retoryczne pytanie: „Und die Butterbroetchen dazu”? Czy do tego maślaną bułeczkę? Ale w pobliskim Walvis Bay, w tamtejszej jadalni, inny czarnoskóry kelner zapyta o to samo po angielsku, może w afrikaans. Mniejsza o to, dlaczego. Nie jest to wykład z historii kolonizacji południowo-zachodniej Afryki.

Mieszkając w Swakopmund

zajrzyj do sklepu Peters Antiques – dużo badziewia, ale da się znaleźć jakąś fajną mapę czy coś podobnego na pamiątkę. W zasięgu krótkich – i średniokrótkich przejazdów samochodem macie

SUCHO JAK W PIEKLE
Deszczu nie będzie.

RAZ NA WIELE LAT

bywa, że w porze deszczowej pustynia się zieleni.



FOT. ROMAN POLEK

DUNE 7

Jedna z najwyższych
wydm na świecie.
Według Ministerstwa
Środowiska i Turystyki
Namibii, jej wysokość
wynosi 383 m n.p.m.

piachu, pomalutku piją wodę z mgieł i rosy i równie pomalutku sobie rosną. Trzeba zobaczyć, żeby się przekonać, dlaczego ten sukulent w swojej łacińskiej, naukowej nazwie nosi przezwanie „mirabilis”.

Zaliczcie wydmy koło Swakopmund: wysokie na dwieście albo trzysta metrów, dostarczają dziecinnej zabawy facetom z Ameryki i Europy. Szturmują oni te zbocza na przywiezionych ze sobą quadach, harlejach, jamahach i beemwuchach. Na szczyt wjedzie mało który, ale za to ile adrenaliny! Zresztą, możecie polecieć ze Swakopmund nad Namib awionetką czy bodaj nawet balonem, jeśli się nie boicie, tak jak ja, urządzeń latających mniej-szych niż boeing-737. No tak, znasz moją tajemnicę – latania boeingiem też się boję.

Następne pięćset kilometrów zaplanujcie sobie na dwa dni. Po drodze polecam nocleg w jednym

z małych miasteczek (w tym kraju, łaska boska, dwóch ludzi przypada na kilometr kwadratowy i nie ma miasteczek dużych), takich jak Omaruru, Ojitwarongo, Khorixas, Outjo czy co tam innego. Postarajcie się poszukać starego pensjonatu, prowadzonego przez praprawnuków niemieckich osadników lub misjonarzy sprzed stu lat. Tam będzie szansa na przepyszny posiłek w rodzaju wieprzowej pieczeni z zasmażanymi ziemniaczkami i czerwoną kapustką. Jak nie znajdziecie takiego pensjonatu, to śpijcie gdzie bądź i udawajcie, że podoba wam się nachalna egzotyka miejsca. Śladów kulturowej ekspansji Niemców sprzed półtora wieku w Namibii jest coraz mniej i trzeba się z tym pogodzić. Chociaż... podróżujemy w końcu po to, żeby dobrze zjeść.

DEAD VLEI
Martwe bagno
otoczone wydmami.

WELWITSCHIA MIRABILIS

Tu rośliny pomalutku piją wodę z mgieł i rosy.

GEMSBOK

Rodzaj oryksa. Inspiracja dla poszukiwaczy jednorożca.



FOT. ROMAN ROJEK

FOT. ROMAN ROJEK

Ważne jest Khorixas

Tam warto wypożyczyć na pół dnia terenówkę i pojechać (a potem jeszcze podejść górkami), żeby zobaczyć naskalne ryty i malunki buszmenów. Wśród nich najślawniejszy: Białą Damą, która nie jest ani białą, ani damą, a ja, szczerze mówiąc, nigdy się nie dowiedziałem, skąd ta nazwa. Byłaś na Krecie, to możesz porównać z freskami w Knossos – różne mądrale z profesorskimi tytułami dopatrują się podobieństwa.

W Etoszy trzeba posiedzieć minimum trzy dni. Jeśli przypadkiem Twój partner jest maniakalnym miłośnikiem obserwowania ptaków (znam paru takich, są gorsi od wędkarzy), to dołóżcie jeszcze kolejne trzy. Spanie, proponuję, zarezerwujcie sobie w Namutoni. To ze względu na flamingi.

Nikt nie wyjeżdża z Etoszy z takimi samymi wspomnieniami. Ja pamiętam samotnego strusia, pędzącego, z jemu tylko znanych powodów, do linii horyzontu. Surykatkę stojącą wytrwale na straży. Szlachetne gemsbok (gemsbok jest w herbie Namibii!), które kazały mi przeczytać na nowo legendę o jednorożcu. Rodzinę gepardów, smutno rozpamiętujących kolejne, nieudane polowanie. Ptaka kori (podobno to kuzyn naszego dropia), co rozpędza się ze sto metrów, żeby z wysiłkiem poderwać do lotu swoje olbrzymie cielsko. Niebo – ono nigdzie nie jest takie, jak nad Kalahari. I ciszę.

Oczywiście jest tu i rodzina „big five”, ale to sobie można obejrzeć u Krugera. Kruger to zoo, Kalahari to Afryka. Po powrocie opowiesz mi o Twoich wspomnieniach z Etoszy.

SMUTEK DRAPIEŻNIKA
Gepardy po kolejnym nieudanym polowaniu.

W drodze do Caprivi

zaplanujcie kilkadziesiąt kilometrów więcej, bo opodal Grootfontein leży sobie największy na świecie meteoryt. Nazywa się Hoba, jest dużym i, jak obliczono, bardzo ciężkim kamieniem. Ot, taka ciekawostka.

Baron von Caprivi był niemieckim kanclerzem. Oddał Anglikom Zanzibar. Caprivi Strip jest nagrodą za trudy dotychczasowej podróży. To serce subsaharyjskiej Afryki. Tu już nie ma pustynnej Namibii, a cztery rzeki zasilają najbujniejszą w tej części świata roślinność.

Jako miejsce kilkudniowego pobytu proponuję któryś z kampusów w Divundu, w tropikalnym lesie na brzegu Okavango. To już właściwie północna część delty, choć jeśli otrzymacie propozycję jedno czy dwudniowej wycieczki w stronę Maun, to skorzystajcie. Ale gdyby nie chciało Wam się nigdzie ruszać, to też będzie cudnie: weźcie czółno, by powiosłować po kataraktach rzeki, wśród hipopotamów i krokodyli.

Jeszcze pięć godzin jazdy na wschód. Ostatnia kolacja, ostatnia noc, w hotelu na brzegu potężnej Zambesi. Rano w Katima Mulilo oddacie furę i przez Windhuk i Frankfurt do domu. ◉

Przyślij mi
widokówkę.

MALOWIDŁA NA SKALE

Ars longa, vita brevis.
Sztuka trwalsza
niż życie.

FOT. ROMAN ROJEK

FOT. ROMAN ROJEK

Vilcabamba 1572: ostatni bastion Inków

Państwo Inków na początku XVI wieku obejmowało prawie całe wybrzeże Pacyfiku wzdłuż Andów, a także tereny Peru i Boliwii w głębi kontynentu. Zamieszkiwało je w sumie ok. 12 milionów mieszkańców – w skład rozległego imperium wchodziły bowiem również liczne plemiona podbite wcześniej przez Inków. Do dziś trudno jest pojąć jakim cudem olbrzymie imperium zachwiało się i upadło pod naporem niewielkiej grupy hiszpańskich konkwistadorów – żądnym bogactw zabijaków i typów spod ciemnej gwiazdy, którzy najechali inkaskie ziemie. Wszak na samym początku było ich ledwie kilkudziesięciu.

Hiszpańskiej ekspedycji przewodził Francisco Pizarro – nieślubny syn hiszpańskiego szlachcica i zwykłej wieśniaczki, który młodość spędził pasając świnie, nie miał żadnego wykształcenia i prawdopodobnie do końca życia pozostał analfabetą. Mimo to właśnie on na kartach historii zapisał się, jako ten, który podbił imperium Inków. Konkwistadorzy dotarli do wybrzeża dzisiejszego Ekwadoru w 1532 roku. Mimo że oddział liczył zaledwie 180 ludzi, wygrywali kolejne bitwy i uparcie posuwali się w głąb inkaskiego imperium. W błyskawicznym podboju pomagały im podbite przez Inków plemiona, które przybyszów traktowały początkowo jak wyzwolicieli. Sami Inkowie również byli w tym czasie mocno podzieleni. W imperium toczyła się bowiem walka pomiędzy zwolennikami inkaskiego wodza Atahualpy i rywalizującego z nim o tron brata – Huascara.

Pizarro i jego ludzie znakomicie wykorzystali to zamieszanie. Po kilku miesiącach walk Hiszpanie dotarli do Cajamarki, gdzie pojмали i uwięzili, a następnie zgładzili Atahualpę tuż po tym, jak on sam schwycił i zabił Huascara. Następnie wyruszyli do Cuzco – położonej w górach inkaskiej stolicy. W jej zdobyciu pomógł im nieoczekiwany sojusznik – spokrewniony ze zgładzonym władcą Manco Inka, który wkrótce z pomocą Hiszpanów sam zasiadł na królewskim tronie.

Sojusz nowego władcy z konkwistadorami nie trwał jednak zbyt długo. Hiszpanie najpierw posprzeczaali się między sobą, a wkrótce potem dokonali napaści na pałac Manco Inki porywając jego żonę, oraz jedną z księżniczek, którą władca wkrótce miał poślubić. Upokorzony Inka w kwietniu 1536 roku pod pretekstem religijnych obrzędów wymknął się z własnej stolicy, by stanąć na czele powstania skierowanego przeciw konkwistadorom. Tak rozpoczął się okres ponad trzydziestoletniej walki Inków o odzyskanie niepodległości. Okres w którym dawne imperium nieuchronnie kurczyło się, a Indianie zaciekle walczyli o utrzymanie swojej ostatniej enklawy – ukrytego głęboko w dżungli królestwa Vilcabamby.

Przebieg tych walk, a także historię powstania, rozkwitu i upadku Vilcabamby opisuje w swojej najnowszej książce pt. „Vilcabamba 1572” pisarz, podróżnik i dziennikarz Roman Warszawski. Choć książkę opublikowano w serii „historyczne bitwy” wydawnictwa Bellona, to jak łatwo się domyślić opowiada ona nie o jednym starciu, ale o okresie kilku dziesięcioleci, gdy pod naporem hiszpańskiej konkwisty powoli, acz nieuchronnie upadło imperium Inków. Zastanawiając się jak do tego doszło autor wnikliwie analizuje historyczne fakty. Opiera się również na własnych przemyśleniach i odkryciach – Warszawski

bowiem wielokrotnie już organizował wyprawy do Peru, odkrywając na miejscu niejedną tajemnicę z czasów konkwisty.

Podczas jednej z takich ekspedycji odkrył na przykład, w jaki sposób pokonani militarnie Inkowie zamierzali uchronić się przed całkowitą eksterminacją. Ostatni przedstawiciele tego ludu postanowili mianowicie ukryć się wysoko w górach i... przeczekać. W sterylnych, wysokogórskich warunkach i dzięki spożywaniu leczniczych roślin sprowadzanych ze znajdującej się poniżej dżungli Indianie stali się odporni na choroby i niezwykle długowieczni. Ale to już zupełnie inna historia, zatytułowana „Q'ero. Długowieczność na zamówienie”: inna książka Romana Warszawskiego.

Michał Piotrowski



Roman Warszawski,
Vilcabamba 1572,
Wydawnictwo Bellona,
Warszawa 2011

8 dób w autobusie

Najdłuższą trasą autobusową, jaką można znaleźć w rozkładach jazdy jest trasa z Caracas w Wenezueli do Buenos Aires w Argentynie. Liczy ona 9660 km. Podróż trwa 8 dni i 22 godziny, wliczając 12 godzin postoju w Santiago w Chile i 24 godziny postoju w stolicy Peru – Limie. Czytelnikowi, który pierwszy poda faktyczną cenę biletu, wyślemy następnym numerem miesięcznika za darmo.

konkurs@poznaj-swiat.pl

Rzeka, rzeczek, Klonownica

Nikt nie miałby problemu ze wskazaniem najdłuższej rzeki w Polsce. Za to niewiele osób wie, która z polskich rzek znajduje się na końcu takiego rankingu. Otóż, najkrótsza rzeka żeglowna Polski (a także Europy) płynie w okolicach Augustowa, nazywa się Klonownica i liczy niecałe 800 metrów długości.

Król jest... w krawacie

Współczesny krawat wywodzi się z Chorwacji? Król Francji Ludwik XIV dokonując przeglądu swojej armii zauważył kolorowe, jedwabne chusty noszone na szyi przez chorwackich oficerów zagranicznego regimantu. Zwróciły one jego uwagę tak bardzo, że nadał formacji miano Royal Cravattes. Później krawat wszedł na stałe również do ubioru monarchy, a pieczę nad królewskimi cravates sprawował tzw. cravattier. Wkrótce moda na noszenie krawata trafiła do Anglii i reszty Europy. Dzisiaj uważa się go za nieodłączny element stroju eleganckiego mężczyzny.



Góry na biało, trawę na zielono!

Na pograniczu prowincji Ayacucho i Huancavelica w centralnym Peru grupa lokalnych ekologów prowadzi dość niecodzienną akcję. Już od blisko dwóch lat malują... góry! Pokrywają oni zbocza (leżące w sąsiedztwie topniejących lodowców) białą farbą, składającą się głównie z wapna. Wszystko to ma służyć przywróceniu lokalnego mikroklimatu, przeciwdziałającego zanikowi lodowców w Andach.

Projekt w całości finansowany przez Bank Światowy już daje pierwsze efekty. Leżące w sąsiedztwie pomalowanych zboczy lodowe czapy przestały się kurczyć, a żyjące tam zwierzęta,

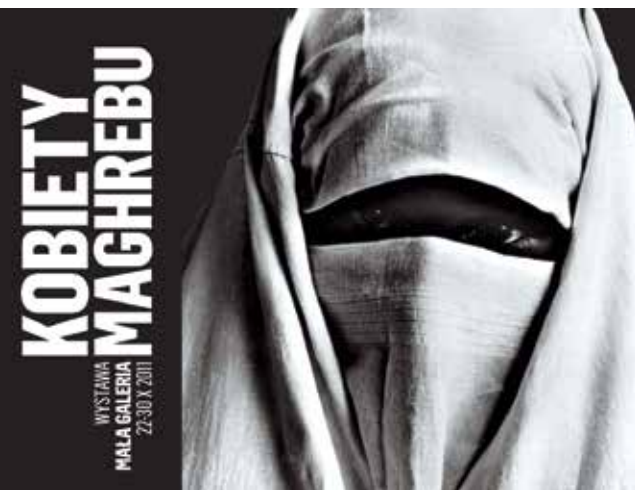
m.in. alpaki i dzikie szynszyle, zaczęły powracać do swoich siedlisk. W projekt jest zaangażowanych zaledwie dziesięć osób.

– Od momentu jego zapoczątkowania pomalowaliśmy już 70 hektarów gór. To trudna i męcząca praca, zważywszy, iż wykonujemy ją na wysokości powyżej 4500 m n.p.m. – mówi Carlos Altamirano, jeden z uczestników. Wyraża on również nadzieje na to, że Bank Światowy nadal będzie ich wspierać i wkrótce będzie można rozpocząć podobne akcje w Boliwii i Ekwadorze.

(R. Warszawski)


 Barwy Świata

Maroko w Krakowie



**KOBIETY
MAGHREBU**
WYSTAWA
MAŁA GALERIA
22-30 X 2011

W dniach 19-23 października br. w Krakowie odbędzie się festiwal Barwy Świata – Maroko w Krakowie. Impreza ma upowszechnić wiedzę o społeczeństwie, życiu codziennym, obyczajach, historii, a także aktualnych problemach mieszkańców Maroka – będącego obecnie popularnym celem wyjazdów turystycznych Polaków. Honorowy patronat nad festiwalem objął ambasador Królestwa Maroka Moha Ouali Tagma.

Jest to pierwsze tak duże wydarzenie poświęcone w całości kulturze Maroka. Warto wspomnieć, że marokański Fez to miasto partnerskie Krakowa, w którym odbywa się ten festiwal.

Maroko i Polska nawiązały stosunki dyplomatyczne jeszcze przed rozbiorem. 220 lat temu, 1 lipca 1791 roku dotarł do Tangeru Jan Potocki – pisarz, podróżnik i dyplomata. Był on posłem króla Stanisława Augusta Poniatowskiego

do sułtana Al-Jazida ibn Muhammada. Uczestnicy festiwalu zobaczą wystawę fotograficzną Jerzego Skarżyńskiego i Jakuba Ciećkiewicza, penetrujących Maroko dziennikarsko i artystycznie, będą mieli okazję podziwiać unikatową w skali światowej kolekcję XIX-wiecznych pocztówek – portretów kobiet arabskich, wezmą udział w wernisażu współczesnej marokańskiej malarki i mistrzyni kuchni, wysłuchają prezentowanych po raz pierwszy w Polsce wierszy Tuaregów (tłumaczonych specjalnie z okazji festiwalu). Spotkania z Marokiem odbywać się będą w salach Śródmiejskiego Ośrodka Kultury w Krakowie, w Klubie Piwnica pod Baranami, w Muzeum Etnograficznym oraz w Klubie Podróżników Śródziemnie. Festiwal zakończy Salon Poetycki Anny Dymnej w Teatrze im. Juliusza Słowackiego, poświęcony twórczości Tuaregów.

Już po raz piąty w Londynie odbywa się Festiwal Rumu. Impreza rozpoczyna się 14 października i trwa 3 dni. To wyjątkowa okazja, aby skosztować nie tylko znanych i lubianych gatunków rumu z różnych zakątków świata, ale też by poznać smak rzadkich czy nawet całkiem nowych alkoholi. Atmosferę podczas festiwalu umila grana na żywo muzyka, utrzymana w egzotycznych klimatach. Rum, przez dziesięciolecia kojarzony z piractwem i przemytem, z czasem stał się jednym z najchętniej spożywanych trunków. Jego nazwa pochodzi najprawdopodobniej od używanego przez żeglarzy rummera – dużego naczynia. Rum zaczął być wykorzystywany nawet jako waluta, za którą nabywano niewolników. Rosnący popyt na trunek spowodował, że ograniczenia narzucane na handel trzcina cukrową stały się jedną z przyczyn wybuchu amerykańskiej rewolucji w 1776 roku. Sukces wyborczy w osiemnastowiecznej Ameryce wiązał się z ilością rumu, jaką polityk rozdał.

Choć trunek kojarzy się z Ameryką, pochodzi prawdopodobnie z Indii lub Chin. Odmianę rozcieńczonego rumu nazywa się grogiem.



Smak, który zagrzewa





Te, co skaczą i fruważą

Pierwsza sobota i niedziela października jest poświęcona różnorodności ptasiego życia wokół nas. Obchodzimy wtedy Dni Ptaków, podczas których tysiące przyrodników i pasjonatów z całej Europy uda się do lasów, parków, na łąki i stawy, żeby obserwować migracje skrzydlatych przyjaciół odlatujących do ciepłych krajów na swoje zimowiska. Dla niektórych gatunków będzie to daleka wędrówka, wiodąca przez całe kontynenty. Inne przebędą znacznie krótszą drogę, przemieszczając się w cieplejsze rejony Europy Zachodniej lub Południowej. Wiele gatunków ptaków przylatuje na zimę na nasze tereny z północnej i wschodniej Europy, wśród nich te gatunki, które zimowy czas spędzają na wodach przybrzeżnych Bałtyku.

Dni Ptaków i idea wspólnej obserwacji ich migracji mają już wieloletnią historię. Ich pomysłodawcą jest Birdlife In-

ternational, którego partnerem w Polsce jest Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Ptaków. OTOP nie tylko organizuje specjalne wycieczki, ale także koordynuje zbieranie danych. Przewodnikami tej organizacji są ornitolodzy i miłośnicy ptaków.

Choć ptaki otaczają nas praktycznie wszędzie, stosunkowo mało o nich wiemy. Owszem, potrafimy odróżnić srokę od sikorki, ale kawkę zazwyczaj mylimy z gawronem. Uczestnicząc w wycieczce bierzemy jednocześnie udział w poważnych obserwacjach naukowych, warto więc mieć ze sobą lornetki oraz... długopisy i ołówki. Na specjalnym formularzu, który można pobrać ze strony internetowej, uczestnicy będą notować obecność wszystkich zauważonych gatunków. Towarzyszyć temu będą wolontariusze OTOP, którzy wspomogą swoją wiedzą i doświadczeniem w terenie.

Stale aktualizowana lista wycieczek jest widoczna na stronie OTOP, w zakładce Wycieczki z przewodnikiem.

www.otop.org.pl



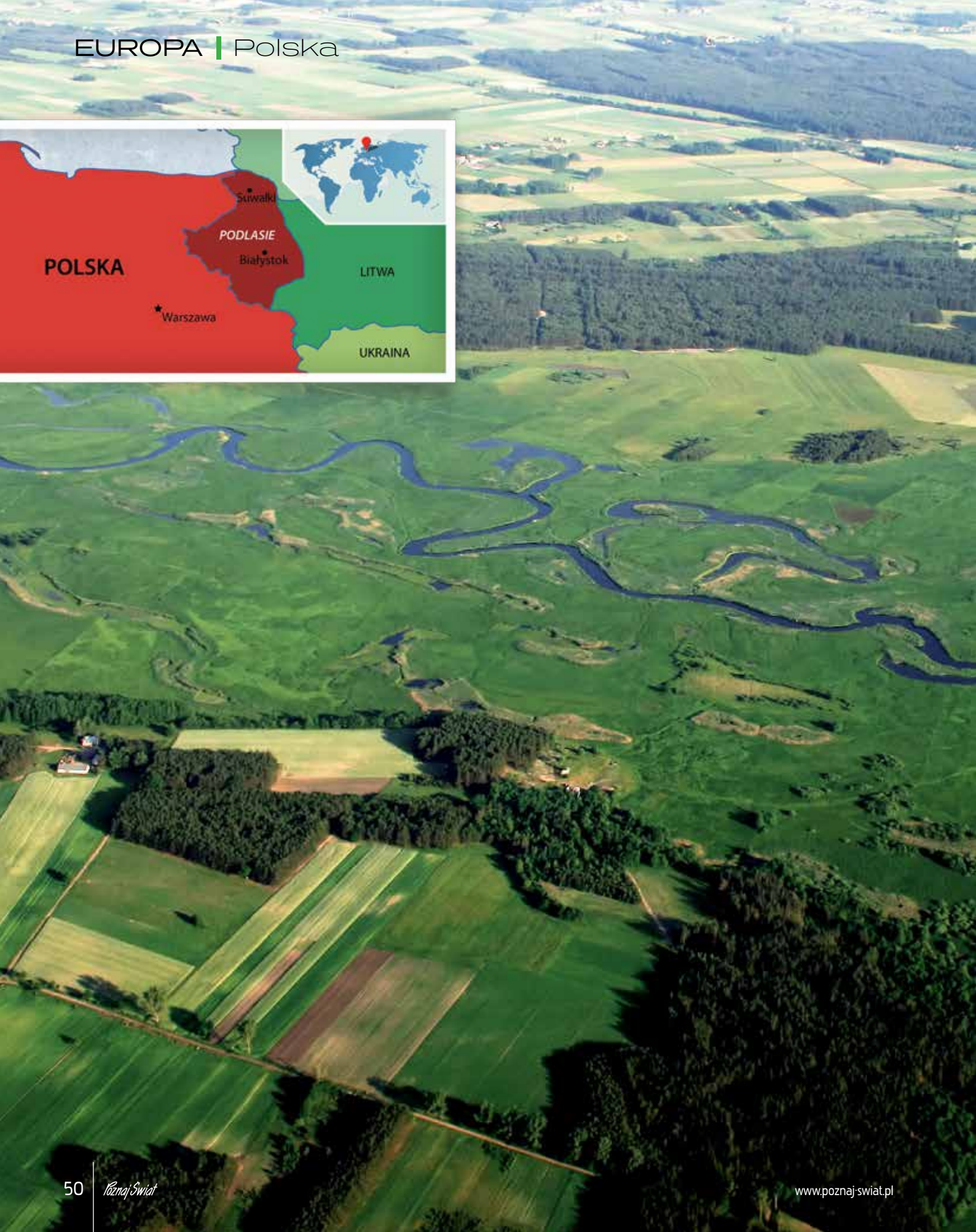
DOLOMITE

Italian Outdoor Since 1897



Dolomite Adamello GTX

Towarzysz każdego miłośnika górskich wypraw. Lekkość konstrukcji, podeszwa Vibram®, membrana Gore-Tex® i najwyższej jakości skóra zamszowa są wizytówkami tego modelu marki Dolomite.



Marek H. Kotlarz

PODLASIE

Rzeczpospolita Wielu Narodów

Podlasie od zarania dziejów stawiało swoim mieszkańcom wysokie wymagania. Nie ma tu łatwych do uprawy gruntów, które pozwoliłyby zbierać corocznie wysokie plony. Dawniej szlachta z innych regionów zwykła pokpiwać z podlaskich braci, mawiając: „szlachcic podlaski ma błota i piaski”. Aby tu mieszkać, trzeba było zdać surowy egzamin z życia. Ale by czuć się szczęśliwym, wystarczyło żyć zgodnie z rytmem tej krainy, urozmaiconej przyrodniczo, jak żadna inna w Polsce.



CICHO WSZĘDZIE, GŁUCHO WSZĘDZIE

Dzikie leśne ostępy.
To tu mieszkają łosie,
wilki, orły, puchacze,
czarne bociany i moc
innego zwierza.

Północna część Podlasia to pagórkowata kraina usiana jeziorami, z których największe i najslyniejsze to Augustowskie i Wigierskie. Konkuruje z nimi Hańcza, najgłębsze z polskich jezior, liczące 106 metrów głębokości. Przy wschodniej granicy z Litwą i Białorusią znajdują się największe z polskich puszczy: Augustowska (1140 km²), Knyszyńska (839 km²) i Białowieska (w polskiej części 580 km²). Południe to kraina zachowanych w stanie niemal naturalnym rozlewisk Bugu, Biebrzy i Narwi.

KRAINA DOBRYCH LUDZI I WIELU NARODÓW

Ileokroć przyjeżdżałem na Podlasie, zastanawiałem się, skąd bierze się szczególne nastawienie miesz-

kańców do świata, ich życzliwość i pogoda ducha, której nie uzasadnia sytuacja ekonomiczna regionu. Sądzę, że są dwie podstawowe przyczyny: przywiązanie do ziemi i wielokulturowość tego zakątka kraju, która od wieków uczy mieszkańców tolerancji i umiejętności współżycia z niekiedy bardzo odmiennymi kulturowo sąsiadami. Ale jest i trzeci powód: niezachwiana wiara w Boga, której świadectwem są bardzo liczne świątynie różnych wyznań rozsiane po miasteczkach i wioskach.

Podlasie jest typowym przykładem regionu pogranicza. Od średniowiecza przeplatały się tu wpływy ruskie, litewskie, białoruskie, ukraińskie, polskie i żydowskie, a począwszy od XVII wieku również tatarskie. Wtedy właśnie Jan III Sobieski osiedlił tu wiernych koronie polskiej wojowników



spod znaku półksiężyca. Do dzisiaj można spotkać ich potomków w nadgranicznych Bohonikach czy Kruszyńskich, gdzie zwiedzić można tatarskie meczety. Podlasie to ostatnia już pozostałość zapomnianej w innych miejscach rzeczywistości Rzeczypospolitej wielu narodów.

Na północnym wschodzie, głównie w okolicy malowniczego miasteczka Sejny, mieszkają Litwini, na południowym wschodzie Ukraińcy, w środkowej części, w okolicach Hajnówki i Bielska Podlaskiego, Białorusini. Niestety, w tej mozaice brakuje dzisiaj licznej niegdyś społeczności żydowskiej, bezlitośnie wymordowanej przez hitlerowców. Świadectwem jej obecności na tych ziemiach są już tylko zarośnięte kirkuty (cmentarze) z omszałymi macewami (nagrobkami) i zachowane

w różnym stanie synagogi, które nie wypełniają się już wiernymi, gdy nadchodzi szabas.

Wielokulturowość i wielowyznaniowość są tu codziennością. Równie liczne i równie piękne jak katolickie kościoły są tu cerkwie. Wśród nich znaleźć można molenny należące do staroobrzędowców, którzy przybyli tu pod koniec XVIII wieku chroniąc się przed prześladowaniami. Nieopodal Siemiatycz wznosi się usiana krzyżami, zwieńczona drewnianą cerkwią i żeńskim monasterem góra Grabarka, najważniejsze miejsce kultu prawosławnego w Polsce, gdzie 18 i 19 sierpnia, w święto Przemienienia Pańskiego, przybywają wierni z całego kraju i zagranicy.

GÓRA KRZYŻY

Tysiące krzyży wokół niewielkiej, drewnianej cerkwi są charakterystyczne dla Grabarki. Krzyże od setek lat przynoszone są przez wiernych. Pątnicy stawiają je obok sanktuarium w intencjach zbawienia, uzdrowienia lub nawrócenia.



JEDEN PRZECIWKO SZEŚĆDZIESIĘCIU

Nad Wizną 720 polskich żołnierzy przez trzy dni powstrzymywało armię niemiecką liczącą 42-tysiące żołnierzy i 350 czołgów.

W tym miejscu padł ostatni polski schron, dowodzony przez kpt. Raginisa.

To o ich bohaterstwie śpiewa szwedzka grupa metalowa Sabaton.

TWIERDZA PODLASIE

Jednak nie tylko zabytki sakralne zachęcają do odwiedzin Podlasia, ta ziemia była również polem militarnych zmagañ. Zapuszczały się tu oddziały hetmana Chmielnickiego, pustoszyli pola i wieś Szwedzi i Moskale. Tu toczyły się walki podczas powstań listopadowego i styczniowego, a potem podczas dwóch światowych wojen zmagaly się armie rosyjskie i niemieckie. Pamiątkami po tych wydarzeniach są nie tylko porozrzucane w wielu miejscach cmentarze z napisami w różnych językach, ale i wkomponowane militarnie (dziś już można powiedzieć, że malowniczo) w rozlewiska Biebrzy umocnienia potężnej niegdyś twierdzy Osowiec. Wybudowana została przez Rosjan pod koniec XIX wieku, a podczas I wojny światowej jej garnizon przez ponad rok stawał zacięty opór niemieckiej armii. Rosyjskich obrońców do wycofania się zmusił dopiero atak gazowy, podczas którego ponieśli ogromne straty. Ale nawet wtedy, jeszcze przed opuszczeniem umocnień, poparzeni i duszący się żołnierze odpowiedzieli kontratakiem, który przeszedł do historii jako „atak trupów”. Zapuszczając się w podziemne korytarze twierdzy, można odczuć dramatyzm tamtych wydarzeń.

Obawiając się powtórzenia takiego scenariusza, w roku 1939 nacierający z Prus Wschodnich gen. Guderian ominął umocnienia twierdzy i skierował

Badacze ze stowarzyszenia „Wizna 1939” podczas niedawnych prac ekshumacyjnych odnaleźli prawdopodobnie szczątki kapitana Władysława Raginisa. Przy fragmentach szkieletu znaleziono medalik z Matką Bożą, który według historycznych relacji nosił na sercu bohaterki obrońca Wizny. Ciało kapitana zostało zbezczeszczone przez Niemców, którzy polali je benzyną i podpalili, a dopiero potem pozwolili pochować obok schronu. Rosjanie, przybywszy tam dwa tygodnie później, kazali przenieść zwłoki kapitana i zakopać w dole przy drodze. Jeżeli badania DNA potwierdzą, że znalezione szczątki należą do kapitana Raginisa, zostaną uroczystie pochowane w należnym grobie-pomniku.



swój liczący 42 tys. żołnierzy korpus pancerny nieco bardziej na zachód. Plan nie do końca się powiódł, gdyż pod Wizną 720 polskich obrońców pod dowództwem kapitana Władysława Raginisa przez trzy dni skutecznie powstrzymywało jego pancerne zagony. Ostatni padł schron dowódcy, a sam kapitan Raginisa, wierny zapowiedzi, że posterunku nie opuści, wysadził się granatem. Dziś resztki betonowych bunkrów uświadamiają, jak wężle mieli w nich oparcie bohaterowie polskich Termopil.

Na wschód od Bugu, który według postanowień paktu Ribbentrop-Mołotow stał się rzeką graniczną, decyzją sztabu generalnego Armii Czerwonej wzdłuż nowej sowiecko-niemieckiej granicy powstał pas umocnień zwany Linią Mołotowa. Nie spełnił pokładanych w nim nadziei, 22 czerwca 1941 roku w popłochu opuszczali go czerwonoar-

miści, nie próbując nawet przeciwstawić się niemieckiemu natarciu. Miłośnicy historii najnowszej mogą zwiedzać liczne bunkry rozsiane wzdłuż malowniczego nadbużańskiego brzegu między Mielnikiem a uroczą Wólką Nadbużną, podziwiając przy tym krajobrazy podlaskiego przełomu Bugu.

OGIERY WE MGLE

Biebrzański Park Narodowy to raj dla fotografów. Kto kocha polską przyrodę, tu szuka najlepszych ujęć.



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. DARIUSZ MALCOWSKI

W PUSZCZY ZNÓW NASTAŁ WŁADCA

W podlaskich puszczech żyje już ponad czterysta żubrów. Ich pokarmem są trawy, liście krzewów, pąki i kora brzoź oraz żołądźcie i kasztany.

TU TEŻ DZIĘCIELINA PAŁA

Najcenniejszym skarbem Podlasia jest przyroda. Tutejsi mieszkańcy dzięki stuleciom doświadczeń nie tyle nauczyli się z nią żyć, co raczej stali się jej częścią. Wiejska zabudowa stanowi element naturalnego krajobrazu – jest skromna, wrośnięta w otaczającą przestrzeń, niekiedy wręcz bajkowa. Już nigdzie w Polsce nie spotka się takiej ilości drewnianych domów i krytych strzechą zabudowań porozrzucanych wśród polnych dróg. Nigdzie pełne zwierzyny knieje nie są tak niedostępne, łąki tak rozległe, rzeki tak bogate w ptactwo i ryby. Tu żyje się od poranka do zmierzchu w rytmie dyktowanym przez naturę. Spotkać tu można ludzi, którzy porzucili wielki świat i już na zawsze związali swoje życie z tą krainą, nigdy swojego wyboru nie żałując.

KRÓLEWSKIE WAKACJE

Urodę podlaskiej ziemi doceniano już dawno. Cała plejada polskich królów, z Jagiellonami na czele, bywała tutaj, by wypocząć lub polować. Jak głosi podanie, miasto Augustów powstało w miejscu pierwszej schadzki Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną. To raczej tylko ludowa legenda, jednak faktem jest, że prawa miejskie Augustów otrzymał od tego właśnie króla, o czym przypo-

mina wznosząca się przy rynku kolumna. Coś z atmosfery tej legendy przetrwało w Augustowie, o czym świadczą do dziś śpiewane przy ogniskach romantyczne piosenki Janusza Laskowskiego czy Marii Koterbskiej.

Lista polskich władców, którzy lubili szukać w okolicy wytchnienia, jest długa. Bywał tu już Władysław Jagiełło (jak donosi Jan Długosz, w 1409 roku polował w Puszczy Białowieskiej przed wyprawą pod Grunwald). Zygmunt Stary wznosił w puszczy dwór myśliwski. Zatrzymywał się tu także Stefan Batory, a potem polowania urządzali August II i jego syn August III. Pobyt tego ostatniego uwieczniono postawiony w puszczy obelisk, gdzie wymieniono upolowaną wówczas zwierzynę, w tym m. in. 42 żubry. Ostatni z polskich królów, Stanisław August, gościł w Białowieży latem 1784 roku.

KONTEMPLACJA I NAUKA

Ciszę i odosobnienie odnalazł też w tych rejonach jeden z najbardziej surowych zakonów katolickich,



kameduli. Na półwyspie obmywanym wodami jeziora Wigry założyli klasztor otoczony wianuszkami domków-samotni. Zakonnicy pragnący samotności, tzw. rekluzi, żyli w nich odizolowani od świata, spędzając czas na modlitwie kontemplacyjnej i uprawianiu niewielkich, przylegających do każdego domku ogródków. Zakon został wysiedlony w 1800 r. przez władze pruskie. Zabudowania klasztorne do dziś stanowią jeden z najpiękniejszych zabytków Podlasia – w czasie swojej pielgrzymki do ojczyzny w 1999 roku, mieszkał tu przez kilka dni Jan Paweł II.

Swego miejsca, tym razem w Sejnach, szukali też dominikanie, którzy wzniesli tam w XVII wieku bazylikę i imponujący, bo w założeniu mający pełnić funkcje obronne, klasztor. Co ciekawe, jeden z jego przełożonych, o. Bortkiewicz, przyczynił się w XVIII wieku do ufundowania w miasteczku synagogi.

Bazylika sejneńska, nadal pełniąca swoje sakralne funkcje, zaliczana jest do najwspanialszych kościołów dawnej Rzeczypospolitej. Klasztor, po

włączeniu tych ziem do pruskiego zaboru, uległ kasacji, a zabudowania wykorzystywane były w celach oświatowych. Tu kształcił się wybitny polski żołnierz powstania listopadowego Szymon Konarski, który stracony został w 1839 roku w Wilnie i równie wielki patriota litewski, dziennikarz i kompozytor, autor hymnu narodowego Litwy, Vincas Kudirka (1858 – 1899).

POD LASAMI CZY POD LACHAMI

Poza Białymstokiem nie ma tu wielkich miast, ale znaleźć można wszystko, czego potrzeba, by wypocząć – piękne zabytki architektury, różnorodność kultur, a nade wszystko ciszę w otoczeniu niezapomnianych krajobrazów. A wieczorami, podczas zachodów słońca, można zastanawiać się, czy nazwa tej krainy wzięła się od kraju położonego pod lasem, jak uważał znakomity językoznawca Bogumił Samuel Linde, czy jak chciał Zygmunt Gloger, wybitny etnograf i badacz tego regionu – od Lachów (Polaków), którzy nią władali. ○

ATRAKcje W KLASZTORZE

Dziś 60 złotych od osoby, za pokój w Pokamedulskim Klasztorze w Wigrach to prawdziwa okazja. Ponadto „ogrody klasztorne, boisko do tenisa i siatkówki, przystań, tawerna i... krypty”.





Do niektórych miejsc jeżdżę po to, żeby zobaczyć, jak się zmieniły, do innych – by potwierdzić, że ciągle są takie same.

LONDYN GOTOWY // WARSZAWA NIESKOŃCZONA



Na warszawski Grochów jeżdżę regularnie w kompletnie złudnej nadziei, że znajdę tam jeszcze coś, co będzie takie samo, jak kiedyś, co przypomni mi dzieciństwo, które spędziłem w tej dzielnicy. Grochów douję sobie umiejętnie, nie jeżdżę tam częściej niż raz na dwa-trzy lata, a jak już pojedę, to spędzam co najmniej pół dnia, żeby przyrzeć się drobiazgom, odszukać dawne ślady. Jednak coraz o nie trudniej, bo nic nie jest takie, jak kiedyś. Jeszcze w latach 80. droga od Placu Szembeka w stronę Wspólnej Drogі, nie mówiąc o kierunku na Gołąwek, to była jednak wyprawa w epokę pradawną i budzącą lekki strach. Stare, przedwojenne domy z ukruszonej czerwonej cegły, bite drogi, wewnętrzne podwórka, faceci o nalanych czerwonych pyskach wylewający się z „Grochowskiej”, centrum wszechświata alkoholików z mojej dzielnicy, konie ciągnące wozy z węglem, baby zgięte pod ciężarem tobołów pełnych jaj, sera, mięsa prosto ze wsi. Dziś Osowska, Nasielska czy Serocka zabudowane są nowymi apartamentowcami, drogi wyasfaltowane i równe, a miejscowa menelia, włączając z niektórymi moimi kolegami z dzieciństwa, w większości już po tamtej stronie.

Na boisku przy Wspólnej Drodze (mówiliśmy na nie „ligowe”, bo było pełnowymiarowe), która w tamtych latach była dla mnie granicą między domem na Szaserów a światem nieznanym i przerażającym stoją wieżowce, na Grochowskiej nie ma knajp ani

rozpadających się kamienic. Owszem, poprawczak przy Osowskiej stoi jak stał, naprzeciwko jest ciągle kotłownia, moja szkoła przy Szaserów i domy na osiedlu, w których mieszkała cała moja klasa bronią się, jak dotąd skutecznie przed upadkiem. Ale np. krawężnik wokół Osiedla Szklanych Domów po którym graliśmy w kapsle (wyścig trwał cały dzień, a czasem przedłużał się na następny) wymienili prawie cały, mniej w nim dziur i załamań, które pozwalały kolarzom wyzwolić pełnię talentu. Na Romeo i Julii przy przedszkolu ciągle te same szescianowe płyty, których coraz mniej w Warszawie, bo wypiera je nudna kostka bauma. Taka kostka nawet nie ma jak się przełamać, więc o czym tu rozmawiać. Nie ma kina „Sokół” na Paca, gdzie chodziłem po kilkanaście razy na wszystkie części „Winnetou”, nie ma mlecznego baru „Wiosennego” na Siennickiej, gdzie tygodniami zamawiałem to samo: naleśniki z serem i mleczną z ryżem.

To nie jest zwykła sentymentalna tęsknota za dzieciństwem. Nawiasem mówiąc wiele osób przesadza z tym idealizowaniem najmłodszych lat, dzieciństwo bywa okrutne, pełne rozczarowań i bólu – ja za swoim niespecjalnie tęsknię. Ale w miejscach, które znamy, szukamy potwierdzenia, że świat chociaż trochę stoi w miejscu, mają one być dla nas dowodem, że to co przeżyliśmy naprawdę istnieje. Inżynier Mamoń miał głęboką rację, gdy pytał oburzony: „Jak może mi się podobać piosenka, którą pierwszy raz słyszę?”. Jak może mi się podobać Grochów, który pierwszy raz widzę?

Taka zresztą jest cała Warszawa – wystarczy wyjechać z niej na dwa tygodnie i wraca człowiek do nowego miasta. Znowu się trzeba przyzwyczajać, znowu uważać, żeby na jakimś skrzyżowaniu nie pojechać pod prąd, znowu uczyć nowych nazw miejsc, które zawsze nosiły inne nazwy.

Ta umiejętność transformacji jest oczywiście wielką siłą Warszawy, jej pęd do zmiany i rozwoju nakręca miasto i przyciąga ludzi z całej Polski, którzy najpierw narzekają, jakie życie w stolicy beznadziejne, a potem się tu osiedlają i nie wyobrażają sobie życia gdzie indziej. Warszawa jest miastem w budowie, miastem nieskończonym, które na naszych oczach przyobleka nowe ciało i szuka własnej duszy, a każdy, kto woli

stabilizację, powinien jechać do miast skończonych.

Na przykład do Londynu. Londyn jest jak góra – stoi w miejscu. Owszem, pojawiają się jakieś nowe restauracje, nowe budynki i linie metra, double deckery mają trochę inną linię i nie można już do nich wsiadać w biegu, ale to zasadniczo nic nie zmienia – Londyn jest zawsze taki sam. Na Aynhoe Road koło Olympii, gdzie mieszkałem przez kilka lat, w tym samym lokalnym pubie siedzą mniej więcej ci sami ludzie, ten sam Hindus co 10 lat temu sprzedaje te same gazety, może trochę grubsze. W tej samej osiedlowej kawiarni pracuje może trochę więcej Polaków niż za moich czasów, ale co to ma za znaczenie. Najważniejsza i najstynniejsza restauracja na Blythe Road, o nazwie Popeseye, wygląda dokładnie tak samo, jak zawsze wyglądała, może ma nowe obrusy, ale tego nie jestem pewien. Tak jak zawsze, serwuje tylko jedno danie, wołowinę z frytkami w trzech wersjach do wyboru: rumsztyk, połędwice i filet. Najtańszy rumsztyk kosztuje 10 funtów, najdroższy filet – 58. Drogo? Drogo, ale warto, bo to wyłącznie szkocki Angus, z krów, które całe życie spędzają na trawiastym pastwisku. Pamiętam jak w 1996 roku, u szczytu choroby wściekłych krów właściciele Popeseye wywiesili w całym oknie flagę Wielkiej Brytanii i jeszcze jedną dodatkowo na maszcie przez lokalem, a obok napis: „Z dumą informujemy Państwa, że serwujemy wyłącznie brytyjską wołowinę”. Codziennie mieli komplet, do dziś codziennie mają komplet.

Lubię snuć się znanymi mi zakamarkami Londynu i odkrywać, że klamki w drzwiach niezmienione, płyty chodnikowe te same, a ścieżki w Kensington Gardens i Hyde Parku przecinają trawniki dokładnie w tych samych miejscach, co dawniej.

Bywają rozczarowania. Przy Holland Street u zbiegu z Kensington Church Street była taka mała kawiarnia, w której pewna Chinka podawała herbatę i ciastka oraz puszczała muzykę klasyczną z płyt winylowych. Uwielbiałem to miejsce, bo było częścią londyńskiego kosmosu, świata, w którym wszystko jest możliwe. Gdy odwiedziłem je kilka tygodni temu, nie było Chinki, nie było herbaty ani muzyki. Za to był sklep z bardzo drogimi kolorowymi poduszkami. Na pewno ręcznie dzierganymi, ale nie spytałem.

CENTRUM DZIEDZICTWA SZKŁA KROSNO

KROSNO MIASTO SZKŁA

HISTORIA WSPÓŁCZESNOŚĆ

ATRAKcje TURYSTYCZNE

www.miastoszklapl

INNOWACYJNA GOSPODARKA
www.mioszkla.pl

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Regionalnego w ramach Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ
ROZWOJU REGIONALNEGO

w obiektywie
Jacka Siwko

A photograph of a cave wall covered in red and black paintings of reindeer and other animals. The paintings are stylized and appear to be ancient.

FIŃSKI DOWCIP



Po czym poznać ekstrawertycznego Fina?
Po tym, że w trakcie rozmowy będzie się
patrzył na twoje buty, zamiast na swoje.

Jeśli w tym żarcie, powielającym stereotypowe
wyobrażenia o zamkniętym i posępnym
charakterze Finów, jest choć trochę prawdy,
to ten fotoreportaż z Helsinek całkowicie temu
zaprzecza.

Zawsze zachęcamy do samodzielnego
poznawania świata. Stereotypy szkodzą.





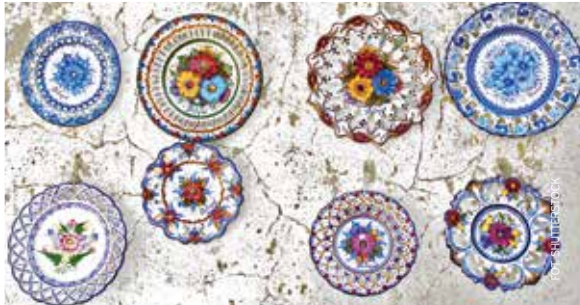
NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Ceramika i wino



 37°07' N 08°04' W

54 km od Faro
bezpośrednie połączenia
lotnicze z Warszawy,
Poznania i Krakowa

Porches to niewielkie miasteczko w sercu Algarve, na południowym wybrzeżu Portugalii słynące przede wszystkim z domowego wina i ręcznie zdobionej ceramiki. Maluje ją większość mieszkańców miasteczka. Pozostała część zajmuje się produkcją wina. Żeby kupić białe naczynia i kafele, wymalowane w kolorowe kwiaty, ptaki albo ryby, wystarczy po prostu zapukać do najbliższych drzwi.

Tradycyjna architektura południowej Portugalii to parterowe, bielone domki z charakterystycznym niebieskim albo żółtym pasem okalającym futryny okien i drzwi. Ale to nie wszystko co przyciąga turystów do Porches. W miasteczku znajduje się także zabytkowy kościół, Igreja de Porches, z XVI wieku, zniszczony w 1755 r. w wyniku trzęsienia ziemi. Pozostałości budowli wkomponowane zostały w nową bryłę świątyni, która powstała w 1882 r. Wciąż jednak można podziwiać tu malowane kafele z XVII w. oraz XVIII-wieczny drewniany ołtarz.



Utö to niewielka wyspa na morzu Bałtyckim, która wygląda jak z filmów Larsa von Triera czy skandynawskich powieści kryminalnych. To tam rozgrywa się akcja jednej z ostatnich powieści Henninga Mankella „Niespokojny człowiek”, w której autor kończy serię z Kurtem Wallanderem. Utö w sezonie przyciąga masę turystów, głównie Szwedów i Finów. W kolorowych, drewnianych domkach rozsiadanych po wyspie na stałe mieszkają zaledwie 43 osoby. Na wyspie znajduje się latarnia morska, niewielka marina i stacja pilotów – nawigator jest niezbędny, żeby bezpiecznie przeprowadzić żeglarzy przez slalom między okolicznymi wyspami. Są tu ponadto: kościół, sklep, urząd pocztowy i szkoła, w której uczą się wszystkie dzieci z wyspy, czyli... trójka. W przeszłości stacjonowały tu oddziały fińskiej armii, ale w 2005 r. opuściły wyspę. Dzisiaj w postmilitarnych budynkach urządzono nowoczesny hotel, wyposażony m.in. w nieodzowną tu fińską saunę i basen. Na wyspę regularnie kursują promy z fińskiego Turku. Szybciej można dopłynąć łodzią motorową. Chociaż podobno, kiedy nadchodzą mroźne zimy i morze skute jest lodem, mieszkańcy z wyspy na wyspę przedostają się pieszo.

 59°47' N 21°22' E

wyspa niedaleko
Sztokholmu, połączenie
lotnicze z Gdańską,
promowe z Gdyni

Ostatnia wyspa Wallandera





Wpływowy klasztor

Mont Saint-Michel, czyli Wzgórze Świętego Michała, to skalista, położona w południowo-zachodniej Normandii wyspa pływowa, czyli taka, która przestaje nią być w czasie odpływu. Jedynym połączeniem z kontynentem jest grobla długości 1800 metrów. Występują tu bardzo gwałtowne przypływy, podczas których fala przybiera z dużą prędkością – nawet do 2 metrów na sekundę. Najwyższe przypływy występują 36-48 godzin po nowiu lub pełni księżyca i wtedy przejazd przez groblę może być zamknięty. Na wyspie znajduje się średniowieczny klasztor Michała Archanioła. Pierwotną

nazwą tego sanktuarium było „Mons Sancti Michaeli in periculo Mari”, czyli Wzgórze Świętego Michała na Niebezpiecznym Morzu. U stóp klasztoru rozciąga się urokliwe miasteczko o wąskich uliczkach pełnych sklepików i kawiarenek. Miejsce to jest najczęściej odwiedzanym w Normandii i według statystyk przybywa tam rocznie ponad 3 miliony turystów, co czyni z niego drugą po Paryżu najchętniej odwiedzaną miejscowością we Francji. Od 1979 roku jest też częścią Światowego Dziedzictwa Ludzkości UNESCO.

 48°38' N 01°30' W

360 km od Paryża
dojazd pociągiem TGV do Pontorson
(10 km od Mont Saint Michel)



Niedoceniane muzeum



51°30' N 00°07' W

północny brzeg Tamizy,
1,5 km od stacji Victoria

Londyn słynie ze swoich muzeów i galerii. Miłośnikom sztuki nie trzeba zapewne przedstawiać słynnej National Gallery of London, która prezentuje ogromne zasoby malarstwa międzynarodowego z lat 1250-1900. Sporą popularnością cieszy się również Tate Modern, galeria sztuki współczesnej mieszcząca się w spektakularnym budynku byłej elektrowni na południowym brzegu Tamizy, nieopodal Mostu Milenijnego i szekspirowskiego teatru Globe. Niewiele osób pamięta natomiast o Tate Britain, położonej na Millbank, północnym brzegu Tamizy, kawałek dalej od ścisłego centrum stolicy. Tymczasem naprawdę warto zwiedzić tę galerię, prezentującą kolekcję sztuki brytyjskiej z okresu od 1500 roku do czasów współczesnych. Jest tu między innymi pokaźna kolekcja dzieł Williama Turnera, prekursora impresjonizmu, malującego głównie romantyczne pejzaże. Są też dzieła Williama Blake'a, słynnego romantyka, poety, malarza i rysownika. Są dzieła Francisa Bacona, czołowego twórcy

malarstwa figuratywnego, jak również obrazy zmarłego niedawno Luciana Freuda, wnuka słynnego Zygmunta. A poza tym, dzieła wielu innych wybitnych brytyjskich twórców, takich jak na przykład John Constable, William Hogarth czy John Everett Millais. Wystawiane są również nowoczesne instalacje uznanych twórców. Wstęp do Tate Britain jest bezpłatny.



FOT. SHUTTERSTOCK

www.tate.org.uk/britain



FOT. WIKIMEDIA COMMONS / PLEFA, L2000

Kamienne kręgi i kościół



53°56' N 17°42' E

95 km od Gdańska
w Borach Tucholskich.



FOT. WIKIMEDIA COMMONS / PRZYKUPA

Jednym z bardziej znanych miejsc na archeologicznej mapie Polski jest wieś Leśno, w gminie Brusy (powiat chojnicki). Zwiedzić tu można cmentarzysko z kręgami kamiennymi i grobami skrzynkowymi oraz osadę, na której terenie odkryto tzw. długi dom, jedno

z niewielu tego typu znalezisk w Europie. Pierwsi mieszkańcy osiedlili się tu już 3 tysiące lat temu. Będąc w Leśnie nie można nie odwiedzić modrzewiowego kościółka katolickiego pw. Podwyższenia Krzyża św. z 1650 roku, który jest jednym z najlepiej zachowanych oraz najbardziej oryginalnych drewnianych kościółków kaszubskich. Dach i wieża kościoła pokryte są gontem świerkowym. Kościół z zewnątrz wygląda skromnie, za to jego wnętrze jest bardzo bogato udekorowane. Warto zwrócić uwagę na VII-wieczną barokową Grupę Ukrzyżowania. Zachował się również prospekt organowy (czyli ich widoczna część) z początku XVIII w. i ołtarz boczny z połowy XVIII wieku.

Polska Kaszuby



Straciłem rachubę, który to już dzień jestem w tym miejscu. Małe, zatechłe pomieszczenie wypełnione jest po brzegi ludźmi.

Brudne ściany to istna tablica ogłoszeń, wydrapanych w przeróżnych językach.

Choć nie mogę ich odczytać, jestem pewien – każde opowiada czyjś dramat...

Na krańcu



Michał Pauli

Bangkok, stolica Tajlandii, krainy nazywanej często przez turystów rajem – i nie bez powodu! Nigdzie nie widziałem tak cudownych wysp i miłych, zawsze uśmiechniętych ludzi. Okazuje się jednak, że nawet raj ma swoje ciemne strony. Tych, o których chcę opowiedzieć, nie opisują żadne przewodniki.

Minęło już wiele lat od tych wydarzeń. Ciągłe jednak pamiętam, jak się to zaczęło, moje pierwsze dni w Bangkok Narkotyk Suppress Division Police Departament, miejscu gdzie nikt nie chciałby się znaleźć. Miejsku, które było początkiem mojej podróży do „jądra ciemności”.

W PRZEDSIONKU PIEKIEŁ

Stalowe drzwi jęknęły powodując poruszenie wśród przerażonego tłumu Azjatów wypełniających pomieszczenie. Pojawił się ubrany w ciemnogrnatowy mundur policjant. Na jego wysokiej czapce lśnił metalicznie wypolerowany Garuda – pół ptak, pół człowiek, symbol wywodzący się z hinduizmu, stanowiący godło Tajlandii.

– *You!* – krzyknął donośnym głosem wskazując palcem w moim kierunku. – *Ma, leo, leo!*

Poszedłem, jak kazał, przez długie korytarze. Posadzili mnie w dużym, widnym pomieszczeniu pełnym biur. Przez okno wpadały promienie słońca, którego nie widziałem już jakiś tydzień. Inny policjant zaczął przesłuchanie. Tak było co kilka dni: groźby, oskarżenia, na koniec podpisywanie napisanych po tajsku dokumentów, z których nie byłem w stanie odczytać nawet własnego nazwiska. Straciłem też wiarę w pomoc ambasady. Pan konsul wpadł na chwilę podczas jednego z takich przesłuchań.

– *Coś ty człowieku zrobił, zabijają cię!*

Po tych słowach wytłumaczył grzecznie jak

bardzo jest zajęty i odjechał służbową limuzyną.

Mnie pozostały do podpisu te same, tajskie dokumenty.

– *Dzisiaj przenosimy cię do Bambat* – Oznajmił łamaną angielszczyzną stojący nade mną policjant. Miły gest z jego strony. Mógł nic nie mówić wrzucając mnie z powrotem do zatęchłej celi.

„*Jeszcze jedna noc wśród gęstego smrodu, z wypalającą oczy jarzeniówką i musi być lepiej. Na pewno będzie lepiej!*” – powtarzałem w myślach, jak mantrę.

Rankiem skuto mnie kajdankami, przymocowanymi do długiego łańcucha, który łączył szereg podobnych do mnie dwudziestu osób. Następnie zagnano nas do stojącej na placu ciężarówce. Jej paka przypominała dużą klatkę na dzikie zwierzęta. Wszyscy, spięci razem, wylądowaliśmy w jej wnętrzu.

Znów widziałem ulice Bangkoku, tym razem już nie z perspektywy turysty, lecz schwytej, jadącej na rzeź zwierzyny..

MÓJ NOWY DOM

Moje nadzieje na poprawę sytuacji totalnie się nie sprawdziły. Trafiłem do celi znajdującej się w podziemiach ogromnego sądu Rachada. Tu zobaczyłem setki takich jak ja. Poutykanych w klatkach, pozbawionych wszelkiej godności ludzi. Patrząc na grube, stalowe kajdany łączące gołe kostki ich stóp, pomyślałem że śnię. Niemożliwe, by była to prawda. To musiał być koszmar, z którego zaraz się obudzę. Przebudzenie jednak nie nadchodziło. Później strażnicy odebrali mi buty i śmiejąc się drwiąco zapakowali do kolejnej więźniarki. Tym razem był to stary zdezelowany autobus. W środku zamiast foteli, przymocowanych było kilka drewnianych ławek. Stałem się jedną ze szprotek, upchniętych w metalowej puszcze. Pałący ból poraził moje stopy. To rozgrzana czterdziestostopniowym upałem stalowa podłoga przenikliwie parzyła gołe nogi. Z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że nic nie mogę z tym zrobić.

Minęło kilka godzin, nim przed nami pojawiły się szare mury Klong Prem. Autobus stanął obok głównej bramy. Otworzyły się drzwi. Dokoła stał szpaler strażników z karabinami. Jeden z nich dźgnął mnie mocno kolbą swojego shotgun'a dodając:

– *Welcome home, farang.*

Jego ledwie zrozumiałym angielski z trudem dotarł do mojej zmęczonej głowy. Farang to ja, biały obcokrajowiec. Chwilę później zrozumiałem, że to, co spotkało mnie do tej pory, było dziecinną igraszką, w porównaniu, z tym, co czekało mnie w nowym „domu”.





MÓJ KAWAŁEK BETONU

Rozgrzany słońcem betonowy plac przedstawiał mało obiecujący widok. Gdzie podziały się palmy i złociste plaże? W oddali za zasiekami ludzka masa bacznie przyglądała się nowo przybyłym.

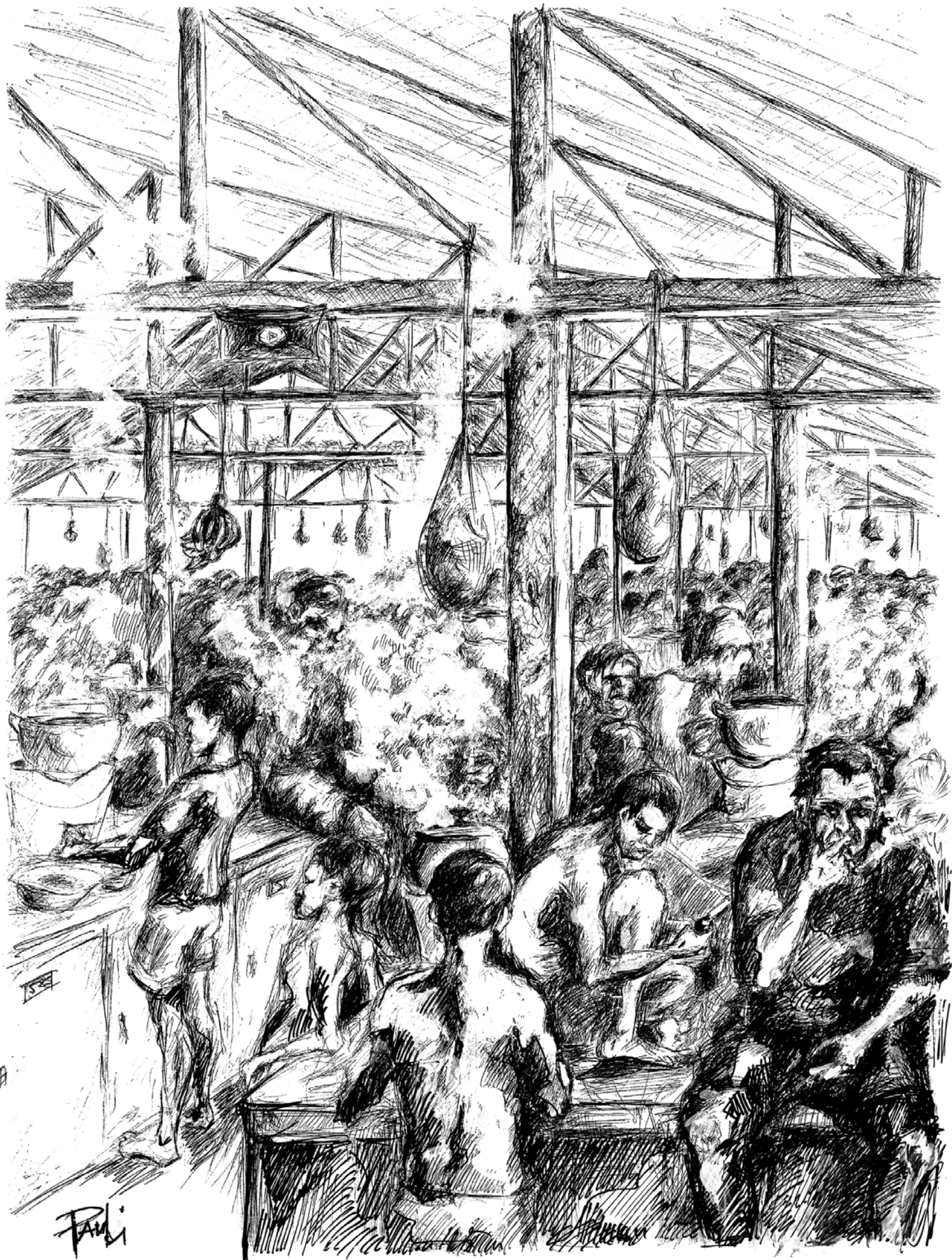
Na małym placu mieściło się jakimś cudem prawie tysiąc osób. Nad wszystkim górował osadzony na słupach budynek. Szeregi ludzi znikwały w drzwiach do jego wnętrza. Dalej widać było długie koryto i rzędy dziur służących do wypróżniania się. Wszystko otaczał otwarty ściekowy kanał, będący jednocześnie rodzajem fosy, przeszkody oddzielającej od wysokiego muru.

Miska brudnego ryżu, którą łaskawie mnie obdarowano, śmierdziała tak odrażająco, że nie tknąłem jej, mimo że nie jadłem cały dzień. Nie byłem w stanie tego przelknąć. Odłożona na ziemię, natychmiast stała się łupem sporych szczurów. Głodny i wylękniony, dołączyłem do szeregu zmierzającego do wnętrza budynku.

Pomieszczenie tonęło w mroku, poprzecinany wąskimi promieniami słońca, wpadającymi przez niewielkie, zakratowane, podłużne otwory

pod dachem. Wchodząc głębiej znalazłem się w długim korytarzu, którego ściany stanowiły kraty klatek. Ubrany w niebieskie spodnie i koszulkę Azjata wepchnął mnie do jednej z nich. To funkcyjny, jeden z więźniów, który pracował dla strażników. Jak przekonałem się później, takich jak on tam nie brakowało. Zawistni i upierdliwi kapusie. Spełniali rolę usługowych pomocników leniwych strażników. W klatce było cholernie duszno. Nabranie kolejnego łyku gęstego powietrza wydawało się wręcz niemożliwe. Miałem wrażenie, że się duszę. Dookoła ciemne ślepie lapały na mnie z każdego kąta.

– *Hey, you* -niewielki Azjata o bardzo ciemnej karnacji wskazał skrawek wolnego miejsca pod drewnianą nadbudówką, która przedzielała klatkę w połowie wysokości, by cela mogła pomieścić jeszcze więcej więźniów. Usiadłem na betonie we wskazanym miejscu. Nie było szans na koc lub inny luksus. Tak pozostało siedzieć następne kilkanaście godzin, czekając do rana, gdy znów otworzą się drzwi i stado wylegnie zapychając gęsto niewielki plac.



Pauli

DIABEŁ Z BAMBAT

Czy ktoś z was widział diabła? Mój miał na sobie czarne, zdezelowane okulary przeciwsłoneczne, a w rękę trzymał końcówkę elektrycznej spawarki. Następnego dnia zabrano mnie do małej wiaty. Tam go zobaczyłem.

Śmiał się głucho, pokazując pozostałości uzębienia, gdy próbowałem z przerażeniem protestować. Posadzono mnie obok prasy, która zagięła na mych nogach gruby metalowy drut. Błysk odpalanej elektrody zwiędził pracę mojego demona. Stał stała się częścią mojego ciała. Swoista inicjacja. Od teraz należałem do tego miejsca. Drugiej strony „krajiny uśmiechu”...

Bambat po tajsku znaczy „dziwny”, „odmieniec”. To niewielkie więzienie mieści ponad dwieście tysięcy skazanych i oczekujących na wyrok w sprawach narkotykowych. Zostają tu tylko ci, których skazują na niskie, góra trzydziestoletnie wyroki. Ludzie z wyższymi karami, jak ja, trafiają dalej.



Pr
h



BANG KWANG – THE BIG TIGER

Mówią – to miejsce jak wielki tygrys, zjada swe ofiary żywcem. Jeśli przekroczysz jego bramę – porzuć wszelkie nadzieje.

Ta sama „puszka sardynek”, która kiedyś została mnie w Bambat, teraz zbliżała się wolno, tonąc w ulicznych korkach, do wysokich murów Bang Kwang. Minęło ponad półtora roku – czas w którym poznałem wielu przyjaciół i wrogów, o mało nie umarłem w karcerze, spałem obok rozkładających się ciał, by na koniec uczestniczyć w przedziwnym, pozbawionym sensu i sprawiedliwości procesie, który skończył się dla mnie dwunastokrotną karą śmierci.

„The Big Tiger” otworzył swą stalową paszczę, by jeszcze raz połknąć świeże mięso. Szedłem długą aleją prowadzącą przez kolejne bramy. Nogi połączone kajdanami bolały coraz bardziej z każdym kolejnym krokiem. Unosząc głowę widziałem wy-

soką, murowaną wieżę – symbol permanentnej inwigilacji, górujący nad całym „miastem za murami”.

Przydzielono mnie do sekcji piątej tego specyficznego „miasta”. Miejsca gdzie wszystko toczy się własnym rytmem, a jego mieszkańcy już dawno zapomnieli o istnieniu świata za jego murami.

Zatrzasnęła się ostatnia brama, za którą pozostał prowadzący mnie strażnik. Ujrzałem przed sobą pocięty zasiekami plac. Pośród stali i betonu oraz wszędobylskiej ludzkiej masy wyłaniały się budki chroniące przed słońcem i deszczem, miejsca do gromadzenia niezbędnych do przetrwania rzeczy. Na taki luksus stać tu było tylko tych najbogatszych. Stałem przy samym wejściu, wahając się jak zacząć adaptację w nowej przestrzeni.

Nagle poczułem mocne szarpnięcie za torbę, którą trzymałem w ręce. Znajdował się w niej mój cały zgromadzony przez ostatni rok dobytek: miska do jedzenia, kilka koszulek, mydło i inne drobiazgi. Odruchowo zacisnąłem mocniej dłoń na uchwytach. Kątem oka dostrzegłem śniadą postać, starającą się wyrwać mi torbę. Druga osoba, stojąca obok, zaczęła coś krzyczeć po tajsku i w tym momencie dostałem solidnego kopniaka w brzuch. Przenikliwy ból przeszył całe moje ciało, a dłonie rozwarły się odruchowo. Napastnicy przechwycili torbę, by natychmiast zniknąć w tłumie. Dwa kroki dzieliły mnie od znajdującej się z tyłu siatki, ozdobionej zasiekami. Oparłem się o nią próbując złapać powietrze i osunąłem się na ziemię. Tak rozpoczął się mój pierwszy dzień w Bang Kwang. ○



Michał Pauli (urodzony w 1972 roku w Kielcach) Artysta plastyk z zamiłowania podróżnik. Skazany w Tajlandii na 12 kar śmierci, zamienionych na dożywocie, spędził w najbardziej zatłoczonych więzieniach świata sześć długich lat. W wydanej przez wydawnictwo Artest książce „12 razy śmierć. Relacja z Krainy Uśmiechu” przedstawił poruszający zapis tamtych dni. Już w księgarniach.

N r **1** w P o l s c e



KIELCE BIKE - EXPO

7-9.10.2011 - Kielce, Poland

Międzynarodowe Targi Rowerowe



**WIELKI FINAŁ
Bike Maraton
Kielce Bike EXPO**



8.10.2011

ORGANIZATOR:



WSPÓŁORGANIZATOR:



Menedżer Projektu: Joanna Marcjan,
tel. +48 41 365 12 43, fax: +48 41 345 62 61, e-mail: marcjan.j@targikielce.pl
Zastępca Menedżera: Bartłomiej Terlecki,
tel. +48 41 365 14 32, fax +48 41 365 13 15, e-mail: terlecki.b@targikielce.pl
Koordynator: Mateusz Drożdżowski, tel. 502 231 039, e-mail: dro66@op.pl

PATRONAT MEDIALNY:



www.bike-expo.targikielce.pl



Nie można być dziennikarzem w kraju, w którym wszyscy są znajomymi prezydenta.

SZÓSTY STOPIEŃ ODDALENIA



Kiedy trzy lata temu mówił mi to w swoim ugandyjskim domu mój równoletek Miha Logar, wydawało mnie się to tyleż trafną obserwacją, co po prostu świetną anegdotą. Mniej więcej wtedy zacząłem zastanawiać się nad prawdziwością pewnej, absurdalnej na pierwsze wrażenie, tezy. Otóż, naukowcy-statystycy przysięgają, że przez co szóstego człowieka na świecie znamy się wszyscy. Działa to na tej zasadzie, że znajomy naszego znajomego, ma z kolei znajomego, który... itd. I tak, bodajże w szóstej kolejce, pojawia się my. I nie mówię tu o znajomych na facebooku, ale o takich prawdziwych, w realu. Nonsense, prawda? Ja sam nie znam nikogo w jakiejś tam Nigerii, a i Hindusów czy Chińczyków spotkałem może kilku, więc niby jak?

Oczywiście, wiem, że statystyka jest najwyższą formą kłamstwa, bo, jak zauważył chyba George Bernard Shaw, który zresztą zauważył wszystko, jeśli ja nie uderzyłem

żony ani razu, a sąsiad tłucze swoją codziennie, to statystycznie okładam małżonkę co drugi dzień. I sprawą powinna się zająć policja, nic na to nie poradzę. Żona zresztą też nie. Niby więc nie ma się czym przejmować, ale z drugiej strony życie potwierdza najbardziej absurdalne wyliczenia, a świat jest znacznie mniejszy niż by się śniło filozofom.

I tu wróćmy na chwilę do pięknej, ale niedużej – raptem dwa miliony mieszkańców – Słowenii. Kilka lat temu popijałem piwo w hotelu w Lusace (to stolica Zambii, do Słowenii zaraz dojdziemy) i rozmawiałem z kilkoma Słowenkami (o własnie, już jesteśmy). Dziewczyny, studentki ostatniego roku medycyny, były bardzo dumne z tego, że dotarły na kraj świata. Od słowa do słowa zaczęliśmy żartować i aby je sprowokować, powiedziałem, że pochodzą z tak małego kraju, iż wszyscy się tam na pewno znają. Prychnęły obrażone. Na co niezrażony powiedziałem,

że miałem kiedyś w Ljublanie dziewczynę, Anję. Gdy wymieniłem jej nazwisko, jedna z moich rozmówczyń poblądła: „Nie możesz jej znać, chodziłam z jej siostrą do klasy!”.

Ta historia ma ciąg dalszy. Okazało się, że owa Anja, z którą kontakt straciłem dobrze ponad dekadę temu – a uwagę tę czynię oczywiście na użytek mojej żony – jest cenioną profesorką hiszpańskiego. Na tyle cenioną, że zna się dobrze z moją wieloletnią przyjaciółką z młodości, dziś tłumaczką. Ot, zbieg okoliczności, z którego nie można wysnuwać żadnych wniosków – powie ktoś. Z pewnością, choć podobnych historii każdy z nas ma kilka.

Ważniejsze jednak niż cokolwiek groteskowe rozważanie, czy znamy się wszyscy na naszej planecie, jest spostrzeżenie, iż świat naprawdę stał się mniejszy. I to nie tylko świat wirtualny, świat mediów elektronicznych, dzięki którym możemy obserwować ludzi oddalonych o tysiące kilome-



trów.

Najlepszym dla mnie przykładem były właśnie owe Słowenki spotkane w Zambii – bezradne, nie bardzo wiedzące, jak poruszać się po Afryce i co je tam może czekać, czego się bać, a czego nie. Dla dwóch z nich był to pierwszy wyjazd za granicę! Dwie pozostałe były wcześniej z rodzicami na wakacjach w... Chorwacji.

Jeszcze nie tak dawno decyzja o spędzeniu kilku miesięcy w Afryce czy w Azji była poprzedzona długimi przygotowaniem, a podejmowali ją ludzie, którzy mieli już spore podróżnicze obycie. Teraz tanie bilety lotnicze kuszą, by sprawdzić, jak wygląda życie tam, gdzie nas ani nikogo z naszych znajomych dotychczas nie było. Czasem taka nonszalancja kończy się źle, bo nie cały świat jest równie przyjazny, co Szwajcaria czy Holandia, ale częściej nie kończy się na niczym złym.

W czasie tych wakacji sięgnąłem po raz kolejny po „Buddenbrooków” Tomasza Manna. Uderzające jest to, że dziewiętnastowieczni kupcy niemieccy, wyjeżdżający w podróż poślubną do Włoch, ruszali w nią, jak – nie przymierzając – my na biegun. I trwała ona mniej więcej tyle samo. Techniczna łatwość i finansowa dostępność podróżowania są poważną cywilizacyjną zmianą o trudnych w tej chwili do oszacowania skutkach. Trudno je przewidzieć, bo przecież mówimy o zjawisku nowym, dotyczącym ostatnich kilkudziesięciu, a tak naprawdę nawet kilkunastu lat.

Dziś nie dziwią nikogo zakupy za granicą, tym bardziej, że w strefie Schengen granicę ową trudno dostrzec, nie dziwi, że zamiast nad drogi Bałtyk, jedziemy nad tańsze Mo-

rze Czer-

wone. Tylko

czy przełoży się to na

jakieś zmiany w mentalności na-

szych dzieci, dla których wszystko to jest całkiem oczywiste i naturalne? Wydaje się, że idealistyczne rojenia, iż świat stanie się bardziej pokojowy, bo przecież wszyscy się znamy, wszyscy jesteśmy sobie bliscy, należy włożyć między bajki. Nie tylko dlatego, że nie ma to jak kłótnia o miedź z sąsiadem, którego znamy sto lat. Także dlatego, że zjawisku „poznawania” setek ludzi na portalach społecznościowych i w czasie wakacyjnych podróży towarzyszy pogłębiająca się nieznajomość sąsiadów z własnej klatki schodowej.

Mój przyjaciel Peter Gostelow, z którym dziesięć lat temu podróżowaliśmy po Gruzji i Turcji, od dwóch lat jedzie rowerem z Londynu do Kapsztadu. Gdy piszę te słowa, jest na pograniczu kenijsko-tanzańskim. Zapewne, mógłby załatwić to jakoś szybciej, ale dla Petera taka wyprawa to nie pierwsza – zaczął kilka lat temu, gdy po dwóch latach uczenia angielskiego w Japonii postanowił wrócić do domu... rowerem. Zajął mu to trzy lata, bo też trochę zoczył z drogi. To, co mnie fascynuje, to nie tylko możliwość śledzenia kolejnych etapów jego eskapady na Thebigafriacycle.com, Facebooku czy Twitterze. Jest coś jeszcze – otóż Peter, całkiem niezależnie, spotyka na trasie moich, teraz już naszych wspólnych znajomych.

Cóż, jeszcze trochę i rzeczywiście uwierzę, że wszyscy jesteśmy kumplami. Ale cóż to zmienia, skoro, jak przychodzi co do czego, to i tak piwa nie ma kto postawić ani forsy nie ma od kogo pożyczyć?



Zabierz
ukochaną
osobę
w magiczną podróż
w przeszłość!

Odwiedźcie piękne zamki i pałace w Republice Czeskiej. Z pewnością będziecie zachwyceni!

Republika Czeska jest idealnym miejscem zarówno na podróż poślubną, jak i romantyczną wycieczkę.

TEST

POD PRZYWÓDZTWE REZYSERA

Andrzej Bober

NO SIGNAL

„Film powinien wyprzedzać realia. Powinien na nie wpływać tak, jak artykuł wstępny w gazecie „Partia”. Jego zadaniem jest mobilizacja na każdym etapie walki rewolucyjnej!”

Kim Dzong Il

Media w Korei Północnej są ściśle kontrolowane przez państwo. Odbiorniki radiowe już w momencie zakupu przestawione są na odbiór częstotliwości, na których nadaje północnokoreańska agencja informacyjna. Pozostałe częstotliwości są blokowane, a radia zabezpieczone plombami tak, by niczego nie zmienić. Za zerwanie plomb grożą poważne konsekwencje. Podobnie „nastrojone” i zaplombowane są też telewizory. Telewizja państwowa nadaje na dwóch kanałach relacje z posiedzeń plenarnych, defilad, z wizyt Kim Dzong Ila w fabrykach czy informacje o nowych rekordach produkcyjnych. Niemniej, od czasu do czasu, w weekendy, można spodziewać się fabularnego filmu, rodzimej, północnokoreańskiej produkcji.





STATYSTYKI NA PLANIE

Szary tłum za chwilę przywdzieje kolorowe kostiumy i zagra radosne życie.

Dzieci mają wtedy okazję obejrzyć bajkę, w której spersonifikowane ziemniaki walczą ze stonką ziemniaczaną. Dorośli natomiast z filmu po bajce dowiedzą się, kto jest największym wrogiem kraju lub kto dybie na suwerenność jedyne go na świecie „atomowego mocarstwa”, za jakie sama się uważa Korea Północna. Z jednej strony, propaganda zapewnia obywatelowi rozrywkę, z drugiej – edukuje go, by wiedział, jak żyć i być szczęśliwym. Filmy zawierają wskazówki praktyczne. Uczą, jak ugotować coś z niczego, jak spędzać wolny czas z pożytkiem dla kraju, jak uszczęśliwiać strapionego problemami lidera partii, Ukochanego Przywódcę, Kim Dzong Ila.

„Reżyser powinien być przywódcą grupy kreatywnej”



Kim Dzong Il

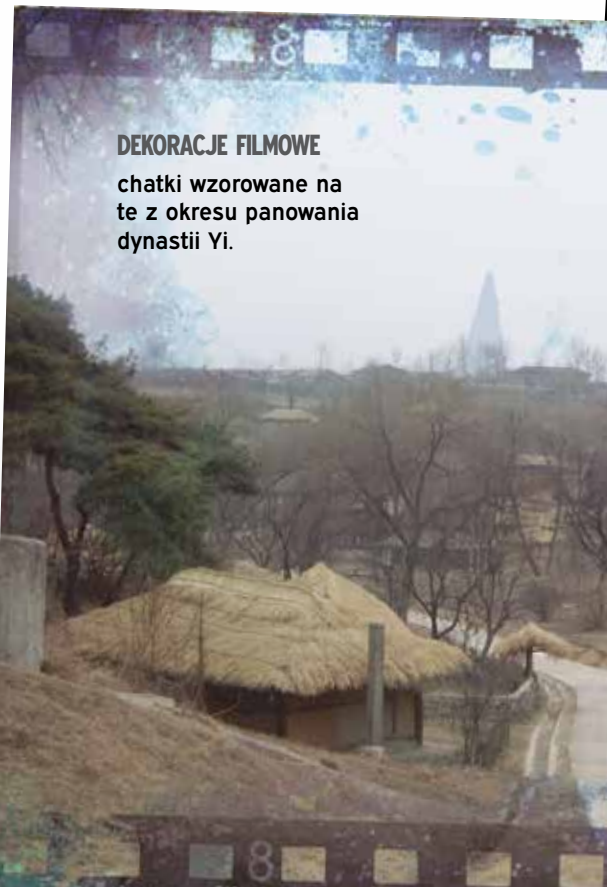


Bilety kinowe są tanie. Do kin trafiają głównie filmy rodzimej wytwórni. Czasami można jednak obejrzeć nawet wielkie produkcje hollywoodzkie. Szczególnie te, obrazujące wątpliwe moralnie postępowanie Amerykanów czy nękające ich klęski i katastrofy. Dzięki temu do kin trafił tu „Titanic” Jamesa Camerona. Fani kina mają też do wyboru szereg innych „wyciskaczy łez”, z fabułą najczęściej nawiązującą do wojny koreańskiej lub okupacji japońskiej.

Przy odrobinie szczęścia można uzyskać zgodę na wizytę w państwowym studiu filmowym, określanym mianem „północnokoreańskiego Hollywood”. U jego bram stoją uzbrojeni w broń półautomatyczną strażnicy. Historię studia z dumą prezentuje jeden z zarządców obiektu. Wielka przygoda Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej z filmem rozpoczęła się w 1947 roku. Wtedy to 15 kilometrów na północ od stolicy, na powierzchni 100 hektarów powstało serce filmowej propagandy KRLD z „zakulisowym miastem” o powierzchni 80 hektarów i 220 budynkami. Przy wejściu ustawiono wykonany z brązu pomnik. To Kim Ir Sen w towarzystwie grupki wsłuchujących się w niego aktorów. Za ledwie kilkadziesiąt metrów dalej widać pierwsze inscenizacje do filmów historycznych. Korea Południowa będzie w nich przedstawiona jako kraj rozwiązyły moralnie i mocno „zapuszczony”, z licznymi miejscami rozpusty i uciech.

DEKORACJE FILMOWE

chatki wzorowane na te z okresu panowania dynastii Yi.



Znajdziemy tu też makiety zabudowy Seulu z lat trzydziestych XX wieku i chatki z okresu panowania dynastii Yi. Osoby odwiedzające to miejsce mogą po uzyskaniu zgody przebrać się za króla lub królową i sfotografować na tronie obitym skórą lamparta. Nam nie pozwala na to czas, więc idziemy dalej, wśród zmieniających się inscenizacji.

W północnokoreańskim miasteczku filmowym powstaje rocznie od 20 do 40 filmów. Są tutaj studia w pełni wyposażone w sprzęt do zapisu dźwięku, obrazu, efektów specjalnych i obróbki filmu. Na co dzień zatrudnionych jest tu około 150 aktorów – absolwentów pjongjańskiej Wyższej Szkoły Dramatu i Filmu. Poza okresami zdjęciowymi miasteczko jest niemal wyludnione.

„Film jest sztuką
rozumienia”

★ ★ ★
Kim Dzong Il



Przewodnik zapewnia, że Kim Dzong Il blisko 600 razy zaszczylił to miejsce swą obecnością. Udzielił też ponad 10 tysięcy wskazówek dotyczących reżyserii i gry aktorskiej. Jednak niektóre źródła podają, że wizyt tych było ponad 10 tysięcy, a więc tyle, co bezcennych wskazówek. Zarówno reżyserzy, jak i aktorzy oraz scenarzyści, uzyskali od genialnego lidera coś w rodzaju „Biblii filmowej”. Można i warto ją kupić. Są to spisane wskazówki, dzięki którym operatorzy mogą kręcić filmy doskonale. Pierwszych rad co do reżyserii i gry aktorskiej miał Kim Dzong Il udzielać już w wieku 7 lat. W żadnym z filmów, przez wrodzoną skromność,

PIRACI Z KARAIBÓW 5
Jeszcze nie teraz.
To stare plakaty zachęcające do obejrzenia filmów o zasłużonych towarzyszach i złych imperialistach.

nie umieścił jednak swego nazwiska. Jak zapewniają miejscowi aktywiści, swoje filmowe zaangażowanie lider KRLD okupił chorobą oczu, gdyż chcąc odbudować zniszczony przemysł filmowy, nie spał po nocach. Teraz z tego właśnie powodu musi stale nosić ciemne okulary.

W 1973 roku w Pjongjangu ukazała się licząca 83 strony publikacja „Theory of Cinematic Art”, a po niej kolejna „The Character and the Actor” (38 stron) oraz inna, nieco dłuższa (68 stron) pod tytułem „The Cinema and Directing”, których autorstwo przypisuje się Kim Dzung Ilowi. „Pierwszy reżyser” i „największy na świecie znawca filmu” udzielił w nich bezcennych wskazówek obecnym i przyszłym pokoleniom artystów filmowych. Kim Dzung Ilowi bez reszty oddani są wszyscy filmowcy, gdyż, jak głosi oficjalna propaganda, „od nikogo nie są w stanie uzyskać cenniejszych wskazówek, jak od posiadającego niczym nieskrępowany umysł – Kim Dzung Ila”.

„Rola reżysera tworzącego w systemie socjalistycznym różni się fundamentalnie od roli reżysera w społeczeństwie kapitalistycznym.”

★ ★ ★
Kim Dzung Il



Podobnie jak w hollywoodzkich produkcjach, tak i w pjongjańskich filmach, można doszukać się motywów przewodnich. Najczęściej pojawiającym się jest walka z japońskim najeźdźcą, wojna z „amerykańskimi szakalami” czy „sprzedajną” Koreą Południową, której władze zdradziły naród koreański, zaprzędając się imperialistom, a tym samym, grzebiąc szanse na narodową jedność Korei. Niemal codziennie można śledzić na szklanym ekranie losy zasłużonych towarzyszy, patriotów, rewolucjonistów, partyzantów i ofiar japońskiego lub amerykańskiego imperializmu. Często poru-



szane są problemy koreańskiej tradycji rewolucyjnej. Przykładami takich produkcji są m.in. „Moja wioska rodzinna”, „Nieśmiertelny ptak”, „Patriota”, 8-odcinkowy serial „Gwiazda Korei” czy „Rოდodendron”, możliwe do zdobycia także w Polsce.

Nieśmiertelnymi klasykami w Korei Północnej są filmy: „Morze krwi” oraz „Kwiaciarka”. Pierwszy z nich stanowi opowieść o młodej farmerce, która w latach 30. XX wieku zdała sobie sprawę, że jedyna słuszną drogą życia wiedzie przez rewolucję. Z tego powodu główna bohaterka podejmuje heroiczną walkę z japońskim okupantem. Drugi z kolei, nakręcony w 1972 roku, przedstawia losy 16-letniej dziewczyny sprzedającej kwiaty, by móc wyżywić siebie i chorą matkę. Film ukazuje nie tylko tragiczne położenie dziewczyny, ale całego narodu koreańskiego znajdującego się wówczas pod okupacją japońską. Co ciekawe, ekranizacja tej historii została wyróżniona nagrodą specjalną na festiwalu filmowym w czeskosłowackich Karlowych Warach.

Nawet filmy animowane nie są wolne od treści propagandowych i rewolucyjnych. Każda bajka niesie ze sobą polityczny, „głębszy” przekaz. Jak przyznaje w nielicznych wywiadach jeden z pół-



FOT. ANDRZEJ BOBER

nocnokoreańskich rysowników-animatorów Jong Chol Ho: „Przez animację możemy powiedzieć dzieciom, że powinny kochać swój kraj”.

Jest podobno fanem takich filmów, jak „Rambo”, „Godzilla” czy przygód słynnego agenta MI6 – Jamesa Bonda. Oczywiście, poza dwudziestą częścią „Śmierć nadejdzie jutro”, w której słynny agent 007 grany przez Pierce’a Brosnana, uczestniczy w misji na terenie Korei Północnej, w pobliżu strefy zdemilitaryzowanej. Nieskrywany podziw Kim Dzong Il wyraża wobec zmarłej niedawno Elizabeth Taylor, choć jedną z największych miłości dyktatora była aktorka filmowa, Sung Hye Lim. Uczucie to Kim Dzong Il długo ukrywał przed ojcem, gdyż wybranka należała do rodziny o „złym pochodzeniu” – wrogiej klasy, z którą walczył Kim Ir Sen. Z miłości tej narodził się najstarszy syn Kim Dzong Ila – Kim Dzong Nam. Sung musiała rozstać się z Kim Dzong Ilem i opuścić kraj, udając się do Moskwy. Rozstanie przypłaciła załamaniem nerwowym, a w 2002 roku zmarła.

PÓŁNOCNOKOREAŃSKIE HOLLYWOOD

Wytwornia filmowa KRL-D zajmuje obszar 100 hektarów

„Reżyseria jest sztuką prowadzenia widza”

★ ★ ★
Kim Dzong Il

Wiadomo, że Kim Dzong Il od wczesnych lat jest fanem filmu, a informacje o jego prywatnej kolekcji filmowej liczącej ponad 20 tysięcy filmów nieustannie przewijają się przez media. Lider KRLD, według doniesień południowokoreańskich agencji, lubuje się w produkcjach zachodnich.

Żaden film fabularny nie oddał dotąd prawdziwego obrazu „ostatniego raję na ziemi” – Korei Północnej. Póki co, największą z ról odgrywa na co dzień Kim Dzong Il, kierując rzeszą 23 milionów statystów. ○

ROZMOWY MARKA SZPENDOWSKIEGO Z LUDŹMI ZAPRACOWANYMI

Rozmowa z Bogusławem Lindą, aktorem i reżyserem.

MAREK SZPENDOWSKI: *Jak przystało na osoby często podróżujące służbowo poznaliśmy się na lotnisku.*

BOGUSŁAW LINDA: Tak, lecieliśmy do Petersburga na plan zdjęciowy do filmu „The Justice of Wolves”.

I przez dwie godziny lotu fascynująco opowiadałeś o swoich przygodach. Pomyślałem z zazdrością: Ja sobie tylko trochę zwiedzam...

Ja też zwiedzam.

A co można zwiedzać lecąc balonem nad Bałtykiem? Moim zdaniem zbierasz wrażenia. Czasami bardzo mocne.

Balonem napełnianym gazem biliśmy rekord Guinnessa, gdyż nikt przed nami nie przeleciał jeszcze Bałtyku właśnie takim sprzętem. Ponieważ nie starczyło nam funduszy na specjalistyczny gaz, dopełniliśmy balon gazem z miejskiej gazowni, który jest bardzo wybuchowy. Balon prowadził Stefan Makne, zdobywca prestiżowego Pucharu Gordona Bennetta. Jednak dla niego to też była pierwsza wyprawa nad Bałtykiem. Był wtedy już po siedemdziesiątce, więc żartowaliśmy, że leci, żeby ładnie umrzeć. Ale my – dlaczego to robimy?

Właśnie?

Nie mieliśmy świadomości takiego zagrożenia. Nad morzem są inne prądy i temperatury powietrza niż nad lądem. Lecieliśmy latem i gdy schodziliśmy poniżej 100 metrów, spadaliśmy jak kamień, gdyż powietrze było rozrzedzone. Wtedy się zrzucało piasek. Jedna garść piasku, to 50 metrów w górę. Mało. Potajemnie odcinałem cały woreczek, alevyciągał onasna wysokość 3 kilometrów. I tu drugie niebezpieczeństwo, bo górne prądy kierowały nas nad Zatokę Ryską, a dwa lata wcześniej zestrzelono tam baloniarzy. Na manewry straciliśmy dużo balastu i dużo gazu.

Często łączysz pracę zawodową z umiłowaniem do podróży i sportów?

Kiedyś z kolegą wymyśliliśmy program telewizyjny pt. „Projekt X”, w którym chcieliśmy połączyć uprawiane przez nas sporty i wykonać to razem. Chodziło też o to, by pojeździć po świecie. Jeździliśmy od Wietnamu do Argentyny, idąc na azymut przez dżunglę, uprawiając rafting, nurkowanie głębokościowe, nurkowanie pod lodem, skacząc ze spadochronem itd. Z kapitanem Paszke pobiliśmy rekord świata płynąc katamaranem od Kanarów do Martyniki. Zrobiliśmy to w 11 dni.

Kreć się filmy w wielu krajach. Ja najbardziej lubię swoją zawo-

wą przygodę związaną z podróżą do Kazachstanu.

To było jeszcze w czasach Związku Radzieckiego. Pojechałem na jeden dzień zdjęciowy najpierw do Ałma Aty, a później w góry, gdzie w jadącym pociągu miałem powiedzieć do głównej bohaterki „Aniu, Aniu”. Po czterech dniach podróży zaczęliśmy kręcić. I wtedy reżyser powiedział: „Nie mów Aniu, Aniu – powiedz Aniu”. Zabrał mi więc połowę kwestii. Tyle nauki tekstu w obcym języku na pamięć i taki afront (śmiech).

Wracając do filmu, od którego zaczęliśmy naszą rozmowę dodam,



FOT. ALEXANDR GONIMEV

że angażowałem do niego dwóch artystów: Ciebie i Michaela Yorka. Z Tobą byłem w Moskwie i Petersburgu, z Michaelem dodatkowo w Uzbekistanie, Niemczech i Izraelu. Bogato – razem 85 dni zdjęciowych. W montażu filmu wykorzystano zdjęcia, które można było zrobić w 40 dni. Cały oryginalny scenariusz oczywiście diabli wzięli. Nowy scenariusz pisano w trakcie montażu. W ten sposób film stał się niestety bardzo niezrozumiały. Kiedy producent pokazał go kilku dystrybutorom na festiwalu w Berlinie stwierdzili, że ze względu na niezrozumiałość materiału proponują, by film pokazać na festiwalach filmów artystycznych. Z niemal stuprocentową pewnością stwierdzili, że tam zostanie zakupiony do dalszego rozpowszechniania. I wyobraź sobie, że zadziałało.

Mam nieodparte wrażenie, że wiele polskich filmów może być dystrybuowanych dokładnie w ten sam sposób.

żyj Długo

ŻYJ ZDROWO

CZYTAJ CO MIESIĄC

Najlepsze polskie czasopismo
o **zdrowym stylu życia**.

Miesięcznik, w którym w roli
ekspertów występują
również **nobliści**.

Bogato ilustrowany magazyn,
a w nim **reportaże**
z bliska i z daleka oraz
opowieści o ludziach z pasją.

Fascynująca lektura
dla **całej rodziny**.



Z prenumeratą łatwiej!
Zadzwoń pod numer 58 349 80 27
lub 58 342 25 07 i złóż zamówienie!
Półroczna prenumerata to tylko 25 zł!

www.zyjdlugo.pl

AZJA | Timor Wschodni

MAGIA TIMORU

Krzysztof Mielnik-Kośmiderski



Wstajemy skoro świt. Salomea się myje, ja poluję na niedobitki karaluchów, harczących w nocy po domu. Nie jesteśmy w stanie ich do końca wytrzebić. Zdepczemy – wkrótce wykluje się gromada następnych. Wyrzucimy drzwiami – wrócą oknem, bo timorskie karaczany potrafią fruwać. Mieszkają z nami też gekony. Tym małym przyjaciółom nigdy nie bronimy dostępu do domu. Kilkanaście niedużych jaszczurek bezszelestnie poluje po ścianach na muchy, pająki i komary. Spada ryzyko, że pewnego dnia obudzimy się z malarią.



Do szkoły z naszej chatki docieramy w kilka minut. W klasie czekają już uczennice. Witają nas w tetum, jednym z dwóch, obok portugalskiego, oficjalnych języków Timoru. – *Diak ka lae (Jak się macie)?* – pytają. Odpowiadamy: – *Diak, ami diak (Dobrze, dobrze)*. Śmieją się.

Na niektórych słowach można połamać sobie język, szybko jednak odkryliśmy, że tetum nie jest trudne. Już po kilku miesiącach rozmawialiśmy dość swobodnie. Po pół roku i dwóch piwach porydam się na dyskusje filozoficzne z timorskimi znajomymi.

Salomea uczy plastyki, ja – obsługi komputera. Razem prowadzimy lekcje angielskiego. Dziewczyny w szkole pochodzą z całego kraju. Wybrano je ze względu na zainteresowania, zdolności i zaangażowanie w życie lokalnych wspólnot. Znajomość języka Szekspira w ich przypadku sprowadza się co najwyżej do kilkunastu słów. Niestety, organizacje dbające o edukację, zarówno świeckie, jak i kościelne, nie są w stanie zapewnić systematycz-

nego wsparcia. Często bywa, że nauka przedmiotów nieuznawanych za priorytetowe, takich właśnie jak angielski, ulega zerwaniu w trakcie kursu, bo zmienili się decydenci. Już samo to stanowi powód, by w naszej szkole wszelkie kursy i szkolenia przebiegały możliwie szybko i intensywnie. Dlatego przygotowanie do pracy w zakresie Hotel & Restaurant Management trwa cztery miesiące, a nauka zawodowego szycia, gotowania, czy obsługi sekretariatu – dziesięć. Wydawałoby się, że niewiele, ale biorąc pod uwagę edukacyjną pustkę wielu regionów Timoru, daje to wychodzącym od nas dziewczętom duże fory na rynku pracy.

NASZ SKRAWEK DŻUNGLI

Mieszkamy w Baucau, drugim pod względem populacji mieście Timoru Wschodniego. Nazwy dwóch tutejszych dzielnic Kota Lama (Stare Miasto) i Kota Baru (Nowe Miasto) mylnie sugerują, że mamy do czynienia z urbanistyką miejską.



FOT. KRZYSZTOF MELNIK/WOLNOSTERSKI

WYTYŻ WZROK I ZNAJDŹ SYMBOL TRZECIEGO TYSIĄCLECIA

**Timor Wschodni
stał się pierwszym
niepodległym
państwem XXI wieku.**

Obie, znacznie od siebie oddalone, przypominają mocno rozproszone wsie, a dotarcie z jednego krańca miasta na drugi wymaga kilkugodzinnej wędrówki.

Nasz domek znajduje się w starej części Baucau, o czym świadczą takie elementy krajobrazu, jak portugalskie targowisko i relikw kolonializmu, hotel Pousada. Mamy szczęście, że mieszkamy w jednym z nielicznych tu domów murowanych. Choć w Polsce z dużą dozą prawdopodobieństwa obdarzono by go statusem „do rozbiórki”, tutaj uchodzi za trudno osiągalny luksus. Cztery pokoiki, łazienka i przechodnia kuchnia, które dzielimy z siostrą Salomei, Dagmarą i dwiema miejscowymi dziewczynami, to nasz prawdziwy azyl po codziennej pracy. Z uwagi na górujące nad dachem, rozłożyste gałęzie pobliskiego drzewa, jest także jednym z niewielu cienistych miejsc w okolicy. Średnia temperatura w domu to ledwie 26°C!

Na krajobraz Baucau składają się chatki z palm i blachy, kościół, trzy szkoły i wszechogarniająca zieleń. Na Timorze natura daje ludziom do zrozumienia, że jest tu absolutną panią. Wystarczy spojrzeć na nasz przydomowy ogródek. W obawie przed skorpionami, węzami i gigantycznymi tutaj skolopendrami, przez trzy godziny trzebimy wszelkie przejawy flory. Po tygodniu przed gankiem znowu zaczynają plenić się chaszczki. Miesiąc później w ogródku nie ma skrawka, który nie przypominałby dżungli.

WYSPA TAJEMNIC

Na timorskich surowych plażach wszechobecne są znaki ostrzegające przed atakami krokodyli. Według legend, traktowanych tu często jako prawdy objawione, sam Timor to krokodyl zaklęty w skałę. Chociaż od przeszło 450 lat szerzy się tu chrześcijaństwo, którego odsetek wyznawców zbliżony jest



dzisiaj do polskiego, wierzenia animistyczne mocno się zakorzeniły w kulturze Timorczyków. Goszcząc na naszej werandzie szkolne podopieczne, niejednokrotnie wysłuchujemy historii, w których wiara w sprawczą moc wyspy – czy w codzienną inżynierię duchów przodków – jawi się jako aksjomat.

Miejscowi to ludzie wyjątkowej skromności. Wiąże się ona nie tylko z ubóstwem, które po latach represji znosić będą przez wiele dekad. Wynika przede wszystkim z pełnego pokory podejścia do życia i z obawy przed niezrozumieniem ze strony obcych. Dlatego kiedy prosimy Victorię, drobną dziewczynę ze szkolnego sekretariatu, by opowiedziała nam o swoich doświadczeniach z Lulikiem, jak się tu określa szeroko pojętą mistykę wyspy, waha się dość długo. W końcu zaczyna.

– Pochodzę z wioski niedaleko miasteczka Manatuto. Mam dużą rodzinę, a niestety nigdy nie powodziło nam się najlepiej. Dlatego jako najstarsze dziecko często musiałam pomagać tacie, który jest rybakiem, w jego pracy na wodzie. Droga z wioski na plażę prowadzi przez kilka kilometrów lasu palmowego. By ją pokonać, zawsze wstawaliśmy na długo przed świtem. Czarną jak smoła noc rozświetlała jedynie płonąca pochodnia ojca. Kiedy dochodziliśmy do pewnego miejsca, tata zawsze gasił ogień. Powoli zza drzew wylaniała się coraz silniejsza poświata: niezwykle, białawe światło. Idąc, mijaliśmy ludzi żyjących pośród drzew: stojących, rozmawiających, rozmodlonych... Ojciec zawsze kazał mi przechodzić przez to miejsce cicho, nie rozglądać się na boki i się nie odzywać. Po kilkudziesięciu metrach do lasu ponownie wkradł się mrok, towarzysząc nam przez resztę drogi. Powtarzało się to przez wiele lat, niemal zawsze, gdy towarzyszyłam tacie w tej wędrówce. Czasem, przechodząc tamtędy, słyszeliśmy głośnie, rytmiczne bicie w bębny. Pamiętam, że często wówczas płakałam, zdając sobie sprawę, co to oznacza. Ilekroć bowiem ze świetlistej osady dochodziły w nocy dźwięki bębnow, następnego dnia okazywało się, że ktoś w mojej wiosce zmarł.



sięciu metrach do lasu ponownie wkradł się mrok, towarzysząc nam przez resztę drogi. Powtarzało się to przez wiele lat, niemal zawsze, gdy towarzyszyłam tacie w tej wędrówce. Czasem, przechodząc tamtędy, słyszeliśmy głośnie, rytmiczne bicie w bębny. Pamiętam, że często wówczas płakałam, zdając sobie sprawę, co to oznacza. Ilekroć bowiem ze świetlistej osady dochodziły w nocy dźwięki bębnow, następnego dnia okazywało się, że ktoś w mojej wiosce zmarł.

NANI IHA NEE

**Czy to może znaczyć:
„Nie karmić (sobą)
zwierząt”?**



W AZJI TYLKO AFGANISTAN JEST BIEDNIEJSZY

**Timor jest jednym
z ostatnich miejsc
w regionie nieskażonym
masową turystyką.**

Słuchamy Victorii z największą uwagą. Może gdybyśmy byli w Polsce, jej opowieść włożylibyśmy między bajki. Na Timorze jednak spotykamy ogromną ilość podobnych historii.

DWA OBLICZA TIMORU

Istotą nauczania w naszej szkole jest zawodowa aktywizacja podopiecznych. Równie ważne jest ich uświadamianie. Patriarchalna hierarchia Timoru sytuuje kobietę dużo niżej od mężczyzny. To nierówne traktowanie już nieraz potwierdzały relacje naszych studentek. Bardzo często dochodzi do przemocy w rodzinie. Problem nierówności jest niezwykle ważki, toteż w kampanię uświadamiającą włącza się zdecydowana większość organizacji międzynarodowych, na czele z ONZ. Dzięki takim kampaniom coraz więcej kobiet decyduje się na wyrażenie buntu.

Sytuacja kobiet stanowi ilustrację rządzących Timorem kontrastów. Przemoc, bezwzględnie uderzająca w ludzi w czasach konfliktu z Indonezją, z jednej strony nauczyła ich szacunku dla życia, współpracy i gotowości poświęcenia dla wyższego celu. Z drugiej, teraz gnieździ się za drzwiami wielu chat, z tej pozycji wprowadza w społeczeństwo groźny pierwiastek autodestrukcji.

Powszechna życzliwość, radość i uśmiech, które dostrzegamy wokół, ścierają się ze świadomością, że w kraju grasuje wiele niebezpiecznych grup. Próbując poradzić sobie z 70-procentowym bezrobociem, ubóstwem i brakiem perspektyw, młodzi szukają wyjścia poprzez treningi sztuk walki. Przynależność do takiej „szkoły” z reguły oznacza deklarację wstąpienia do gangu. Chłopcy wkraczą w świat jeszcze bardziej naznaczony przemocą. Dystrybucja narkotyków, prostytucja, wymuszanie haraczy – wszystko występuje tu w mocno ustrukturyzowanej formie. Wystarczy wspomnieć, że tylko dwa naj-

większe gangi na wyspie zrzeszają ponad 40 tysięcy członków, a ich macki sięgają wysokich stanowisk rządowych! Dużą aktywność tych grup najwyraźniej widać w stolicy, gdzie co rusz słyszy się o lokalnych rozruchach, podpaleniach czy dotkliwych pobiciach.

– *Timor jest dziki* – rzuca pewnego razu Inge Lempp, koordynatorka programowa w naszej szkole. Inge, której jak mało komu, pasuje określenie „obywatelka świata” (pochodzi z rodziny amerykańsko-niemieckiej, wychowała się w Indonezji), przed dziesięcioma laty zdecydowała się pozostać tu na zawsze. – *To miejsce ma niezwykłą moc. Żyją tu wspaniali, choć poranieni, ludzie. Wiem, że potrzebują pomocy, i nie chcę się od tego odwracać* – mówi.

Budowanie kraju od podstaw nie jest łatwe. Mimo wszystko w Timorczykach widzimy za-



TIMOR I JEGO NOWA DRUŻYNA

W kraju, w którym liczebność młodocianych gangów szacuje się na 20 tys., edukacja jest jedną z najskuteczniejszych broni, jaką posługuje się ONZ.

pał i powszechną dumę z przynależności do ich maleńkiego narodu. Przez siedem miesięcy mieliśmy okazję uczestniczyć w ich życiu, świętach i zabawach. Obserwować codzienne zmagania, troski i radości. Uczyc ich, ale i uczyć się od nich: radości, zapału, wiary. I jeśli wyjeżdżając stąd czegoś możemy być pewni, to tego, że niezależnie od okoliczności mieszkańcy Krokodylej Wyspy dadzą sobie radę. ○



Wyspa Timor, należąca do archipelagu Małych Wysp Sundajskich, leży w południowo-wschodniej Azji, ok. 640 km na północ od Australii. Podzielona jest na część zachodnią (Indonezja) i wschodnią. Niepodległość tej drugiej ogłoszono 20 maja 2002 roku, po ponad 450 latach kolonialnej dominacji Portugalii i 24 kolejnych, pod aneksją Indonezji. Walka o suwerenność przysporzyła Timorczykom mnóstwo bólu i cierpienia. W przeciągu trzech dekad zabito ponad 200 tys. ludzi – 20% obecnej populacji. Sytuacja polityczna, choć wciąż monitorowana przez ONZ, stabilizuje się. Rząd, na czele z bohaterem narodowym Kay Rala

Xanana Gumo, kończy kadencję w 2012 roku. Wtedy też mają się odbyć wybory prezydenckie. Jeśli kraj przez ten newralgiczny czas przejdzie bez większych zawirowań, gnębiące go trudności gospodarcze powinny ulec zmniejszeniu. Dzięki okazałym pokładom ropy i gazu przyszłość Timoru maluje się w jasnych barwach. Tym bardziej, że wzrost gospodarczy w 2009 i 2010 roku wyniósł po 8%. Problem wciąż jednak stanowi ogromna korupcja i zbyt wolny rozwój infrastruktury turystycznej. Chcąc poszerzyć wiedzę o historii Timoru, redakcja poleca książkę Łukasza Bonczola „Timor Wschodni”, Wyd. Uniw. Wrocławskiego, 2008



FOT. WILLIAM GAGNEBOUX

Mien Yao z Północnego Wietnamu, z regiony Spa.

Większość z monet na turbanie to francuskie piastry z czasów Indochin.



FOT. WILLIAM GAGNEBOUX

Mien Yao z Chin. Rynek w Nafa, południowa prowincja Junnan, Chiny.

Odchodzące plemiona



World Wide Tribes Heritage

Mniejszość etniczna Mien znana jest również pod nazwą Yao. Biorąc pod uwagę jej populację w Chinach, Laosie, Birmie i Tajlandii, Mien Yao stało się jedną z największych grup etnicznych w Azji.

Mien Yao prawdopodobnie należy do grupy ludu zwanej Shan Yue, która osiedliła się na południu rzeki Jangcy przed zjednoczeniem Chin pod rządami cesarza Qinshihuang w 221 r. p.n.e.

Pod koniec panowania dynastii Han, rozpad Chin na trzy niezależne królestwa i niestabilność polityczna spowodowały duże migracje Chińczyków do dorzecza rzeki Jangcy. To sprawiło, iż mniejszości etniczne mieszkające w tych rejonach zostały wysiedlone bardziej na południe.

Wtedy właśnie rozpoczęła się kolonizacja miejscowych terenów, która trwa do dzisiaj. Ludzie z plemienia Yao zostali zmuszeni do oddania ziem uprawnych i wyemigrowania na południe, do bardziej stromych i mniej urodzajnych terenów.

Kobiety z plemienia Mien są wspaniałymi hafciarkami. Najbardziej dekoracyjny haft znajduje się na plecach stroju. Kobięca szata składa się luźnych spodni dekorowanych haftem, które noszone są z długą narzutą. Krawędź narzuty, od szyi aż po nadgarstki, udekorowana jest sznureczkiem z czerwonej wełny. Stroje wiązane są w pasie. Na głowach nosi się turbany.

Mężczyźni zazwyczaj noszą koszulę i luźne spodnie. Brzegi stroju oraz kieszenie są również haftowane.



FOT. WILLIAM GAGANBOUX

Mien Yao z północnego Laosu z regionu Muang Sing.



Czy określenie „eksploracja geograficzna” ma jeszcze jakieś współczesne znaczenie, czy jest już tylko pojęciem historycznym? Czy jeżeli dziś odbywa się eksploracja, to w jakim stopniu odbiega ona od epoki wielkich odkryć geograficznych, gdy całe połacie kuli ziemskiej były białymi plamami na mapie? Kim jest współczesny eksplorator, jakimi odznacza się cechami osobowości, jaką drogą dochodzi do swego powołania?

KAJAKIEM PO SŁAWĘ

Te oraz inne pytania padły ponad czterdzieści lat temu w czasie dyskusji francuskich podróżników, w której uczestniczyły takie sławy, jak Alain Bombard, który żeby dowiedzieć, że człowiek może przeżyć na morzu dysponując tylko niewielką ilością słodkiej wody, stał się dobrowolnym rozbitkiem. Samotnie, na pontonie „Heretique” mniejszym od przysłowiowych wrót stodoły, przepłynął w 1952 z Wysp Kanaryjskich na Barbados. Jak Haroun Tazieff, belgijski wulkanolog i speleolog, syn Tatara i Polki, który ryzykował życiem, zaglądając w głąb czynnych wulkanów od Alaski po Antarktydę. Jak polarnik Emil Victor, wybitny badacz okolic obu biegunów Ziemi. Jak Maurice Herzog, najbardziej znany wspinacz na świecie do czasu zdobycia Mount Everestu przez Edmunda Hillarygo i Tenzinga Norgaya w 1953 i pierwszy ujarzmiel ośmiotysięcznika Annapurny. Jak Jacques Villeminot, badacz zwyczajów Papuasów i Aborygenów. Jak Bertrand Flornoy, zgłębiający tajemnice kultur przedinkaskich w Peru, który spędził wiele czasu wśród Jivarosów, słynnych łowców głów w dżunglach u podnóża Andów, a w 1942 dotarł do źródła rzeki Marañon, uważanej wówczas za kolebkę Amazonki.

Ich wymianę poglądów zrelacjonował „Poznaj Świat” w listopadzie 1968 r. Jej konkluzją było stwierdzenie, że w połowie XX w. wyraźnie ubyło eksploratorów z prawdziwego zdarzenia, natomiast wielu ludzi podszywa się pod to miano. Do miejsc przedtem niedostępnych zaczęli docierać bez szczególnego wysiłku i ryzy-

ka dziennikarze i dość podrzędni operatorzy telewizyjni czy uczestnicy wycieczek z biur podróży. Stara definicja eksploracji pojmowanej jako „odkrywanie nowych ziem” przestała właściwie istnieć. Na naszym globie pozostały nieodkryte za ledwie jakieś doliny odcięte od świata, niezbadane dotąd dopływy ciągle meandrujących wielkich rzek, może kilka wysp polarnych, nieco jaskiń. Jeśli chodzi o strefy globu, na których można dokonać jeszcze przyczynków eksploracyjnych, wymienili na pierwszym miejscu część Amazonii. Dołączyli przy tym ubolewanie: „Urodziliśmy się zbyt późno”.

MIAŁA BYĆ PATAGONIA

Piotr Chmieliński urodził się w 1952 w Słocinie – dziś dzielnicy Rzeszowa. Miał 16 lat, kiedy odbyła się ta dysputa i wątplię, czy ją znał, będąc uczniem szkoły średniej. W latach 70. studiował na AGH i tam zaczął pasjonować się kajakarstwem górskim. Poznałem go w 1978, kiedy wrócił wraz z grupą kolegów z wyprawy na górskie rzeki Bałkanów. Prowadziłem wówczas w telewizji program podróżniczy „Klub Sześciu Kontynentów”. Jego spotkania odbywały się w globtroterskiej „Kawiarence Pod Globusem”, do której zaprosiłem członków Akademickiego Klubu Turystyki Górskiej „Bystrze”. Do studia przynieśli swoje kajaki. Pokazali film nakręcony na rwących rzekach Krka i Vrbas, leżących w dzisiejszej Chorwacji oraz Bośni i Hercegowinie. Wcześniej przepłynęli Poprad i najtrudniejsze górskie rzeki Słowacji i Rumunii. Zadałem im wtedy pytanie, dokąd



FOT. ZBIGNIEW BZDĄK

udadzą się, kiedy w Europie zabraknie dla nich rzek o najwyższym stopniu trudności kajakerskiej. Wtedy przedstawili swoje marzenie: „Może w argentyńskie Andy?”. Tak zrodził się pomysł wyprawy „Canoandes '79”. Piotr wyruszył w nią w dwa dni po zdaniu egzaminów magisterskich. Wyprawa miała trwać pół roku. Dla tych, którzy wykazali się najwyższym uporem, przeciągnęła się do trzech lat. Kraj opuścił jedenastu uczestników, do kanionu Colca dotarło pięciu.

KAJAKOWA ODYSEJA

Ich droga do Peru przypominała wędrówkę Odysa do Itaki. Początkowo, mieli pokonać jedynie górskie rzeki Argentyny. Akademia Górniczo-Hutnicza wypożyczyła dla nich ciężarówkę star-266, przyczepę na kajaki wykonali sami. Tuż przed wyjazdem anulowano im wizy do Argentyny, kraj ten szykował się bowiem do wojny z Chile o jakiejś małe wysepki na skraju Ziemi Ognistej. Wystarali się zatem o wizy peruwiańskie. Samochód, wypełniony sprzętem po dach, musieli przeładować na inny statek. Do Gdyni dotarli w śnieżnej burzy przy dwudziestostopniowym mrozie. W Polsce panowała wtedy zima stulecia, Bałtyk zamarł. Kiedy lody puściły, w Peru wybuchł strajk generalny i rząd tego kraju ogłosił stan wyjątkowy. Polska ambasada w Limie nie wyraziła zgody na wjazd kajakarzy.

Dwukrotnie żegnali się z rodzinami. Wstyd było po raz trzeci wracać do Krakowa. Wówczas skontaktowali się z Józefem Klasą, ambasadorem w Meksyku, Nikaragui i Hondurasie. Ten załatwił im oficjalne zaproszenie rządu meksykańskiego. Wylądowali w Meksyku w czerwcu 1979. Tam chcieli poczekać na najbliższą okazję dotarcia do podnóża Andów. Jednak Meksyk ma także wiele rzek nadających się do górskiego kajakowania, więc niektórzy z nich pokonali jako pierwsi w historii. To, co było dotąd przygodą, zamieniło się w eksplorację. Ich dokonania docenił brat prezydenta Meksyku, Guillermo Lopez Portillo, który pokrył wszelkie koszty i wypłacił im 10 tysięcy dolarów za dostarczone opracowania hydrograficzne, filmy i fotografie. To pozwoliło im przetrwać kolejną zimę w Wyoming w USA, gdzie pracując przy odnawianiu domów bogatych ludzi, mogli kupić własny samochód i sprzęt kajakerski.

W marcu 1980 w Meksyku dopędziła ich depecha ze wspomagającej ich wyprawę studenckiej agencji turystycznej „Almatur”, rozwiązująca ekspedycję. Starym samochodem postanowili wrócić do Polski żonaci, za którymi tęskniły rodziny. Kawalerowie wyrazili chęć kontynuowa-

nia eskapady. Tak wyklarowała się grupa przyszłych zdobywców Colki, którzy po drodze do wymarzonego kanionu, jednego z najgłębszych na ziemi, poskromili kilka górskich rzek kolejnych krajów Ameryki Południowej. W Ekwadorze spuścili kajaki na rzekę Napo, którą w 1539 konkwistador Francisco de Orellana dotarł do Amazonki i spłynął do Atlantyku.

COLCA: FANTASJA REALIZABLE

W „Poznaj Świecie” w maju 1997 opisałem ich perypetie w kanionie Colca oraz polityczne przeprawy po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce (cenzura zabroniła informować o ich sukcesach w Peru, gdy stanęli na czele pochodu protestacyjnego, który poprowadził pod polską i radziecką ambasadę słynny peruwiański pisarz Mario Vargas Llosa). Kiedy po latach spotkaliśmy się znów osobiście, podpisali historyczny proporzec pozostawiony w „Kawiarence Pod Globusem”, na którym dodali słowa: „Zadanie wykonane”. A znał ich wówczas cały już świat. Wszystkie peruwiańskie gazety zmagaly się z trudną pisownią polskich nazwisk na swoich pierwszych stronach. Poczytny tygodnik „Oiga” opatrzył artykuł o nich tytułem „Colca: fantazja możliwa do zrealizowania”. Przyjął ich na prywatnej audycji prezydent Peru, Fernando Belaunde Terry. Wydali w Limie po hiszpańsku i po angielsku pierwszy przewodnik kajakowy po rzekach Peru. Trafili do Księgi Guinnessa. Potem jeszcze kilkakrotnie wyruszyli do kanionu Colca. Obecnie kanion ten odwiedza kilkadziesiąt tysięcy turystów rocznie z dziesiątek biur podróży. Za ten wyczyn otrzymali polskiego podróżniczego Oscara – specjalną nagrodę Kolosy, przyznaną za największe dokonania podróżnicze i eksploracyjne.

AMAZONKA OD ŹRÓDEŁ DO UJŚCIA

Wyprawą do kanionu Colca dowodził Andrzej Piętowski. Piotr Chmieliński był w niej dowódcą kajaku, poprzedzającego na największych bystrzach gumowy ponton. W 1985 Piotr stał się głównym bohaterem pierwszego w historii udanego spływu Amazonką, od źródeł aż do ujścia. Wyczyn ten, przez nikogo dotąd nie powtórzony, opisał amerykański dziennikarz Joe Kane, towarzyszący Piotrowi na wodzie przez znaczną część tej trasy. Jego książka stała się światowym bestsellerem. Miała około dwudziestu wydań w kilkunastu językach. Obecnie już trzecią jej polską edycję przygotowuje jedno z krajowych wydawnictw. Będzie gotowa na 60. urodziny Piotra Chmielińskiego w 2012. Na 50. urodziny Chmieliński otrzymał serdeczny list od ówczesnego prezydenta Aleksan-

dra Kwaśniewskiego, który niegdyś jako działacz młodzieżowy wystąpił o paszport zagraniczny dla niego i jego kolegów z klubu „Bystrze”, udających się w Andy. Nie popełnił niedyskrecji, jeśli opublikuję zakończenie tego listu: „Myślę, że jest Pan człowiekiem szczęśliwym. Udało się Panu zrealizować swoje marzenia, które dla innych wydają się nieosiągalne. Wziął Pan udział w ekspedycji, zaliczanej do największych wyczynów XX wieku”.

WŚRÓD NAJWIĘKSZYCH SŁAW

Piotr pozostał człowiekiem skromnym. Zawsze dbał, abym pamiętał o jego kolegach. Podobni do niego byli uczestnicy zacytowanej na wstępie francuskiej dyskusji – Alain Bombard, Emil Victor i Mauric Herzog prosili, aby nie przedstawiać ich jako eksploratorów. Piotr nigdy nie podał się za odkrywcę źródeł Amazonki, które zlokalizował dokładniej niż inny podróżnik, który oznajmił 11 lat później, że jest ich odkrywcą, choć zatrzymał się poniżej miejsca, w którym Zbigniew Bzdak sfotografował Chmielińskiego przy soplach lodowca, sączących pierwsze krople wody spływające do Apachety. Źródła te od dawna były znane Indianom. Obok nich biegła górská ścieżka, którą przepędzali swoje lamy na drugą stronę Andów.

Za pokonanie Amazonki Piotr Chmieliński po raz drugi został wpisany do Księgi Guinnessa (tym razem indywidualnie), a prestiżowy „Outside Magazine”, prezentujący najwybitniejsze światowe postacie kultury, sztuki, literatury, sportu i polityki, zaliczył w 1992 jego spływ do 15 największych wyczynów ostatnich 15 lat. Że w tym samym roku „New York Times” uznał przepłynięcie całej Amazonki za jedno z największych osiągnięć eksploracyjnych XX w. Porównał je ze zdobyciem bieguna północnego przez Roberta Peary’ego, wejściem na Everest Edmunda Hillary’ego czy postawieniem stopy na Księżycu przez Neila Armstronga. I wreszcie jeden z uniwersytetów w Południowej Kalifornii wpisał w 1998 nazwisko Chmielińskiego na listę 21 największych odkrywców i zdobywców XX wieku, obok Roalda Amundsena, Jacquesa Piccarda czy Reinholda Messnera, zdobywcy Korony Ziemi. I, o czym nie wszyscy wiedzą, że jako wybitny ekspert od spraw ekologii został powołany przez rząd amerykański do badania skażeń po zniszczeniu wieżowców WTC w Nowym Jorku przez terrorystów Al Kaidy.

29 września Piotrowi Chmielińskiemu został nadany tytuł Honorowego Obywatela Rzeszowa za to, że podniósł splendor swojej kolebki, stając się najbardziej znanym w świecie rzeszowianinem.

NA SZLAKU KONDORÓW

Na południowym krańcu Peru znajduje się kanion Colca, który należy do najgłębszych na świecie. Jego strome rozpadliny dają schronienie kondorom. To właśnie tu najłatwiej spotkać te ptaki, które są symbolem Andów. Do odkrycia kanionu przyczynili się Polacy. Gdyby nie ich spektakularny wyczyn, być może nikt by dziś o nim nie słyszał.

Tomasz Zakrzewski





Kanion Colca jeszcze niedawno był uznawany za najgłębszy na świecie. Choć ostatnio spadł na drugą lokatę, to ciągle są tacy, którzy się z tym nie zgadzają i wciąż przyznają mu absolutny prym w tej kategorii. Kryteria, według których mierzy się głębokość kanionów, są dyskusyjne. Jeśli na przykład lewe zbocza są wyższe od prawych, to czy można przyjąć średnią głębokość. Którą górę można uznać za przynależącą do kanionu, a którą już nie. Takie pytania można by mnożyć. Dla mnie nie ma to szczególnego znaczenia. Kanion Cotahuasi może i jest najgłębszy na świecie, jednak na pewno nie tak piękny jak kanion Colca, który ma 120 km długości i jest dwa razy głębszy od Wielkiego Kanionu Kolorado w Stanach Zjednoczonych. Ściany Colki



FOT. SHUTTERSTOCK

po lewej stronie wznoszą się na wysokość 3200 m, a po prawej 4200 m n.p.m. Jego dno jest pozbawione roślinności, usłane wielkimi głazami, więc wędrówka jest niezwykle trudna.

POLSKIE REKORDY W PERU

Dla mnie najważniejsza jest historia kanionu, związana z Polakami, którzy jako pierwsi zeszli na jego dno, jako pierwsi nim spłynęli i przede wszystkim, jako pierwsi ukazali go całemu światu. Dziś jest to jedno z najpopularniejszych miejsc w Peru. Codziennie przyjeżdżają tu setki turystów, a wszystko to za sprawą naszych rodaków, którzy postawili sobie za cel spłynięcie najdłuższymi rzekami Ame-

ryki Południowej. W 1979 r. grupa kilkunastu zapaleńców zorganizowała wyprawę Canoandes'79. W ciągu dwóch lat spłynęli kilkudziesięcioma górskimi rzekami w Ameryce Południowej, w tym trzynastoma jako pierwsi w historii. Jednym z największych sukcesów wyprawy było spłynięcie rzeką Colca, która stawiała im zacieklej opór.

Do najważniejszych przywilejów odkrywców należy prawo nadawania nazw nowoodkrytym miejscom. Dzięki temu, na rzece jest kilka miejsc, które już na zawsze kojarzone będą z Polską, jak Kanion Polaków czy Wodospad Jana Pawła II. Wyczyn był na tyle niebywały, że śmiałkowicie zostali zaproszeni przez prezydenta Peru, aby osobiście zdać relację z wyprawy. W kilka lat później ich osiągnięcia

WIELKA COLCA

Choć rokrocznie odwiedzana przez dziesiątki turystów, zachowała liczne, niemal niedostępne miejsca.

AIR SHOW W CRUZ DEL CONDOR

Owalna półka skalna zawieszona tuż nad kanionem to najlepszy punkt widokowy. Po kupieniu biletu za 4 dolary powinny nadlecieć kondory.

zostały wpisane do Księgi Rekordów Guinnessa, a Canoandes '79 jest uznawana za jedną z dziesięciu najistotniejszych wypraw eksploracyjnych XX wieku.

W cztery lata po tej wyprawie, dwóch z jej uczestników – Piotr Chmieliński i Zbigniew Bzdak, wróciło do Peru w międzynarodowym towarzystwie. Tym razem, ich celem było spłynięcie od źródła do ujścia najdłuższej rzeki świata, Amazonki. Jednak tylko Piotr Chmieliński, jako jedyny z kilkunastoosobowej wyprawy, spłynął rzeką od początku do końca. Ten wyczyn również został wpisany do Księgi Rekordów Guinnessa.

EL CONDOR PASA

Kanion Colca położony jest w odległości około stu kilometrów od Arequipy. Najpierw trzeba dostać się do niewielkiej miejscowości Chivay, w której można zatrzymać się na noc. Na miejscu jest dość zimno, bo miasteczko leży na wysokości 3600 m n.p.m. Niedaleko znajdują się ciepłe źródła, a kąpiel w nich z pewnością łagodzi dyskomfort spowodowany surowym klimatem i dużą wysokością. Największą atrakcją regionu są kondory. Te gigantyczne ptaki żyją wysoko w górach, prawie na całej linii Andów. Można je spotkać od Wenezueli aż po



najdalej na południe wysunięty chilijski przylądek Horn. Rozpiętość ich skrzydeł przekracza trzy metry. Można je oglądać wysoko w górach, choć nie jest to łatwe. Chyba że właśnie jesteśmy w pobliżu miasteczka Chivay. W okolicach kanionu powstało kilka punktów widokowych, wybudowanych specjalnie po to, aby można było obserwować kondory. Najbardziej znana spośród platform obserwacyjnych nich znajduje się na drodze łączącej Chivay z Cabanaconde. Miejsce to nazywa się Cruz del Condor. Rozpościera się stąd piękny widok na

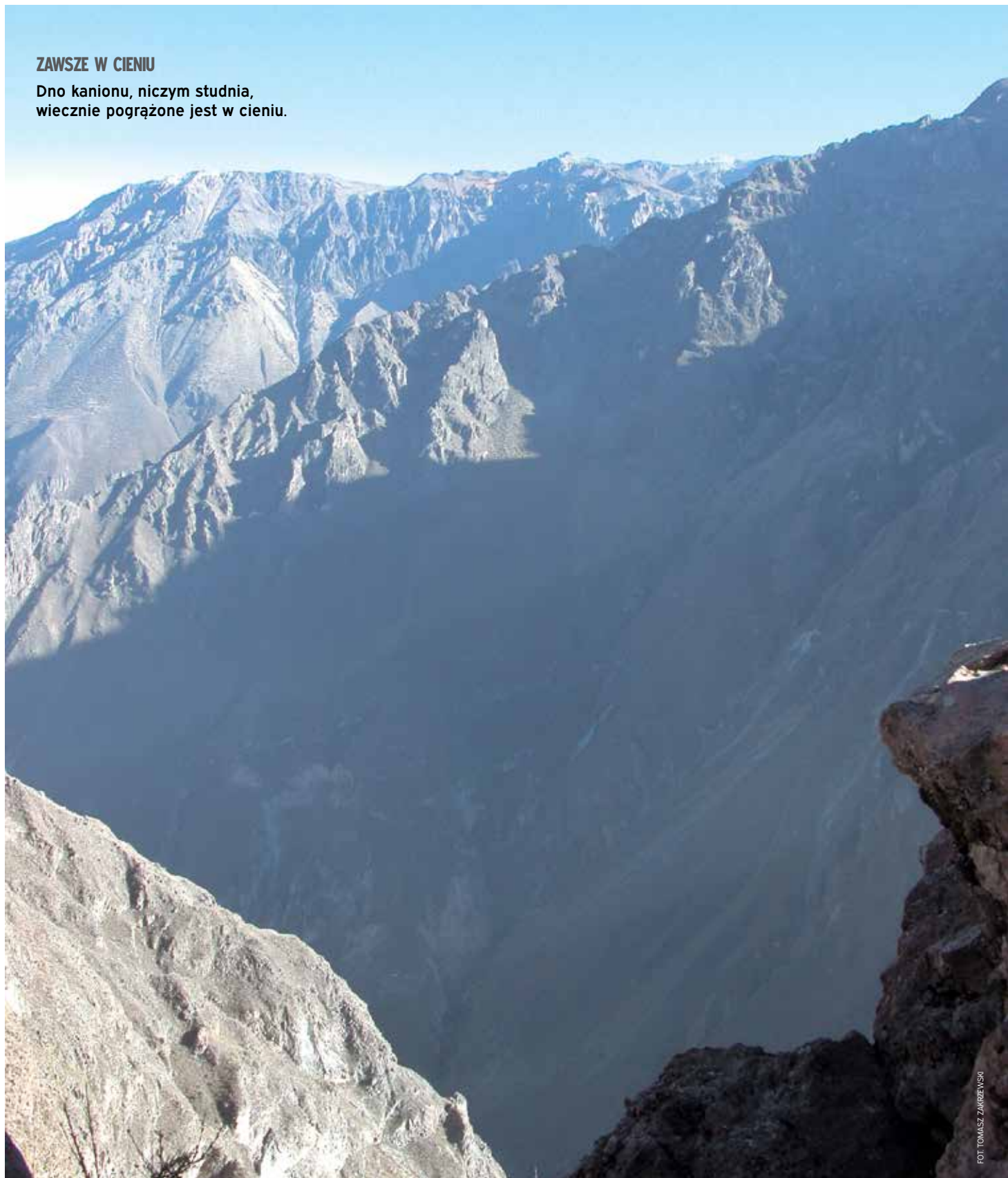
LOT KONDORA

Olbrzymie kondory czasem nadlatują tak blisko, że można mieć obawę, że ptak zechce pochwycić kogoś pazurami i porwać wysoko w górę. Bez obaw. Te ptaki żywią się padliną i jajami ptaków morskich.



ZAWSZE W CIENIU

Dno kanionu, niczym studnia,
wiecznie pogrążone jest w cieniu.



FOT. TOMASZ ZARZEWSKI



FOT. TOMASZ ZANIEWSKI

TREKKING W ANDACH

Nawet jeśli odbędziemy go na grzbiecie muła, warto pamiętać, że duża wysokość i upał wymagają picia wielkiej ilości płynów.

kanion, który właśnie tu osiąga swoją największą głębokość, czyli prawie 3400 m. Kondory zlatują się tu między godziną ósmą a dziewiątą. Wydaje mi się, że miejscowi specjalnie je dokarmiają i ptaki przyzwyczyły się do tych regularnych posiłków, bo rzeczywiście pojawiają się punktualnie, jak na umówioną wizytę. Aby je obejrzeć, codziennie przyjeżdża tutaj około dwustu osób.

Przybyliśmy pięć minut przed ósmą. Czekaliśmy ponad godzinę i już myślałem, że z tymi kondorami to spora przesada, bo w międzyczasie widzieliśmy tylko jednego, i to z daleka. Jednak dosłownie minutę przed dziewiątą nadleciały i rozpoczął się prawdziwy spektakl. Niektóre kondory podlatywały naprawdę blisko, jakby chciały z dumą zmanifestować swoją wielkość, albo jakby były ciekawe, co ci wszyscy ludzie tutaj robią.

Droga, którą tu przejechaliśmy wije się wysoko w Andach. Na trasie nie ma asfaltu. W jednym miejscu przejeżdża się przez tunel, który jest dość długi i nieoświetlony. Pierwszy raz w życiu jechałem przez coś takiego.

TU ROZPOCZYNA SIĘ WYZWANIE

Cabanaconde to małe miasteczko, z którego w 1981 r. nasi dzielni rodacy rozpoczęli podbój Colci. Dziś również eksplorację kanionu najlepiej jest rozpocząć właśnie z tego miejsca. W dół prowadzi kilka szlaków. W zależności od dłu-

gości obranej trasy, należy rozważyć, czy warto wynajmować muły, czy też radzić sobie bez nich. Są one w tej okolicy bardzo drogie, nawet kilka razy droższe niż w innych miejscach kraju. Przy dobrej kondycji fizycznej i doświadczeniu w chodzeniu po górach można sobie darować ten luksus. Na drogę trzeba zabrać trochę jedzenia i jak najwięcej wody. Po drodze rozlokowane są specjalne turystyczne oazy, w których można nie tylko zatrzymać się na noc, ale również zamówić kolację, czy napić się piwa. Woda jest jednym z droższych towarów.

Najbardziej optymalnym rozwiązaniem jest trzydniowy trekking, zaczynający się od zejścia do obozowiska Llahuar, gdzie można zatrzymać się na noc. Kolejnego dnia podchodzi się do Llati, a potem do pięknego wodospadu, leżącego w górnej części kanionu. Stamtąd warto przejść do Malata, gdzie można przenocować. Trzeciego dnia, w zależności od tego ile ma się jeszcze sił, można wracać do Cabanaconde albo przez Oasis, albo dłuższą drogą przez Tapay. Dla tych, którzy nie mają tyle czasu a chcieliby zejść na sam dół kanionu, najlepszym rozwiązaniem jest zejście do Oasis, które zajmuje maksymalnie trzy godziny. Miejsce jest malowniczo położone, można tu przenocować w chatkach zbudowanych z palmowych liści i łądy. Do dyspozycji gości jest kilka basenów z wodą z ciepłych źródeł. Droga powrotna w górę kanionu nie należy do łatwych, trzeba się trochę napocić na podejściu. ○



Hannah
OUTDOOR EQUIPMENT

BELLOW

Topowa kurtka wykonana z materiałów najwyższej klasy

- odpinany kaptur z regulacją
- techniczny krój rękawa
- mankiety wewnątrz rękawów
- wywietrzniki
- wodoszczelne zamki
- klejone szwy
- wstawki stretchowe
- odpinany biodrowy fartuch przeciwśnieżny

materiał zewnętrzny: 85% polyamide, 15% elastan
materiał wewnętrzny: 100% polyamide, 100% polyester
membrana: Climatic Extreme 2L
wypełniacz: Thermore



Konny Swiat

www.sklep.hannah.pl
www.hannah.pl



Anna Dąbrowska

NAD MORZEM

którego nie ma

JEZIORO, A MOŻE MORZE?

Jeziro Aralskie określa się mianem morza ze względu na jego dawne rozmiary. Pięćdziesiąt lat temu powierzchnia zbiornika wynosiła 68 tys. km². Do dziś została z tego tylko jedna czwarta.



PHOT. SHUTTERSTOCK

Morze Aralskie to dziś bezkresny step, na którym można jeszcze znaleźć muszेलki. W miękkiej glebie tkwią zardzewiałe wraki kutrów, które kiedyś były dumą mieszkańców Aralska. Dziś są smutną atrakcją turystyczną, pamiątką po minionej epoce i dowodem na to, jak bardzo zlekceważono naturę i człowieka.



potrafił powiedzieć, o której będziemy w Aralsku. Trzeba było zachować czujność.

Na pewno czekał nas cały dzień jazdy. W wagonie kupiejskim, a więc z przedziałami, spokój był kwestią względną. Albo nagabywała nas bufetowa, skutecznie namawiając na pilaw, albo przez pociąg przetaczały się masy lokalnych handlarzy wszelkim towarem. A to lody z chałupniczo stuningowanej torby pseudotermicznej, to znów czapka z całego wielbłąda, to znowu wizyta obwoźnego kramu odpustowego z rybą i kawiozem. Trochę to denerwujące, gdy człowiek chce pospać, a nieproszeni goście wchodzą bez pukania. Ale tak już jest we wschodnich pociągach. Taka tradycja.

A za oknem? Krajobraz Kazachstanu jest dość jednostajny – step po horyzont i jeszcze dalej. Od czasu do czasu widmowa wieś typu postnuklearnego lub zabudowania świadczące, że kiedyś był tu jakiś przemysł. Obecnie wszystko znajduje się w stanie zaawansowanego rozkładu. Bieda, nędza, pustka.

Pociąg relacji Ufa (Republika Baszkirii w Federacji Rosyjskiej) – Taszkient (Uzbekistan) wtoczył się na dworzec w Aktobe (Kazachstan) z czterdziestopięciominutowym opóźnieniem. Konduktor, zwany tutaj prowadnikiem – nam bardziej pasowało „kasownik” – przywitał nas uśmiechem, ale nie



FOT. ADAM ROJEK

Pan „kasownik” niespodziewanie oznajmił, że dotarliśmy do Aralska. Po kilku nerwowych minutach pakowania znaleźliśmy się na peronie na końcu świata, gdzie zdawałoby się nie ma nic, a mimo to żyją ludzie.

GOŚCINNOŚĆ PO ARALSKU

Pierwsze aralskie obrazy: wielbłąd pijący wodę z kałuży; bezzębna starowina ze składanym stolczykiem, sprzedająca gumy do żucia i papierosy na sztuki; gromadka dzieci, bacznie obserwująca nas, przybyszów.



FOT. ADAM ROJEK

Aralsk, bardziej niż miasto, przypomina wieś, która jeszcze nie poznała asfaltu. Piaszczystą drogą dotarliśmy do szkoły. Jej dyrektor, zapytany o możliwość noclegu na szkolnej podłodze, zawołał przechodzącą akurat kobietę. Okazało się, że to pani inżynier, która mówi po angielsku i z chęcią ugości czwórkę Polaków. Czarnooka, bo tak brzmiałoby jej imię po nieco swobodnym przełożeniu na polski, zabrała nas do siebie. Poczęstowała owocami i dała duży, jasny pokój.

Urodziła się w Aralsku, nad morzem, ale na studia pojechała do Moskwy. Kiedy wróciła, morza już nie było. Została tylko smutnych ludzi, którzy nie mogąc doczekać się powrotu wielkiej wody, porzucili swoje kutry. Dziś tworzą one cmentarzysko wraków. Czarnooka załatwiła nam transport nad to umarłe morze.

Zorganizowała dla nas także przewodników na wieczór. Dwóch chłopaków oprowadziło nas po Aralsku, ćwicząc swój angielski. Gdy brakowało im słów, mówili po rosyjsku, a ja tłumaczyłam to na polski.

Dotąd ludzie w Kazachstanie wydawali nam się niezbyt sympatyczni. Mieszkańcy Aralska zmienili ten obraz: podchodzili, zagadywali, pytali skąd jesteśmy i co tu robimy. Oferowali pomoc. Nie było w nich chciwości i natręctwa, na jakie natrafiliśmy

TRZEBA IM WIELKIEJ WODY

Mieszkańcy Aralska z nadzieją czekają na powrót morza, które po wybudowaniu tamy Kokaral powoli zbliży się do miasta.

WODA UCIEKA

Dziś poziom wody w Morzu Aralskim opada rocznie o 80-90 centymetrów.

FOT. ADAM POLEK



na północy tego kraju. Mnie najbardziej urzekły dzieci. Dziewczynka z rudym kotkiem o wielkich i mądrych oczach cierpliwie czekała, aż zrobię jej zdjęcie. Uśmiechnęła się i pozwoliła mi pogłaskać kota. Wschód znowu mnie zachwycił.

CZEGO SIĘ NIE ROBI DLA BAWĘLNY

Morze Aralskie, będące tak naprawdę jeziorem, stanowi część pogranicza Kazachstanu i Uzbekistanu. Do lat 60. zeszłego wieku zaopatrywało w ryby radzieckie przetwórnice i sklepy, było wtedy czwartym co do wielkości jeziorem na Ziemi.

Wkrótce po Rewolucji Październikowej władze ZSRR zdecydowały, że suche równiny Kazachstanu, Uzbekistanu i Turkmenistanu nadają się pod uprawę bawełny. Miała ona stać się dla tych republik „białym złotem”, dużym wsparciem gospodarczym. Czterdzieści lat później pomysł ten wcielono w życie. Skutek: gigantyczna katastrofa ekologiczna.

Zbudowano kanały, odprowadzające wodę z rzek Amu-darii i Syr-darii – dotąd zasilających Morze Aralskie – prosto na pola bawełny. Poziom morza systematycznie okradanego z dopływów stale się obniżał. Władzom Kraju Rad zupełnie to nie przeszkadzało. Podobnie, jak nagle zubożenie miejscowej ludności. Partyjnym towarzyszom wystarczała satysfakcja z dobrych wyników uprawy bawełny na terenie Uzbeckiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

To jednak jeszcze nie koniec ekologicznego horroru. Stopniowe wysychanie morza-jeziora sprawiło, że znajdująca się na nim Wyspa Odrodzenia przestała być wyspą. A znajdował się na niej poligon doświadczalny broni biologicznej. Możliwe więc, że dochodzi – lub może dojść – do niekontrolowanego przenoszenia, choćby przez zwierzęta, pozostałości po nim: różnorodnych bakterii i drobnoustrojów, na inne tereny. Powstała w miejscu jeziora pustynia Aral-kum zanieczyszczają natomiast odpływy z pól uprawnych.

MORZA BRAK, WRAKÓW STEP...

Od lat trwają starania na rzecz rewitalizacji Morza Aralskiego. Pięć lat temu Kazachowie wspierani przez Bank Światowy wybudowali na jeziorze tamę, która oddzieliła jego północną część od południowej, tej uzbeckiej. Część północna, czyli Jezioro Północnoaralskie, znów wypełnia się wodą, a miasto Aralsk ma odzyskać dawny blask. W 2015 r. powin-



FOT. MARTA WRÓBLEWSKA

no znów być portem. Ale czy tak się stanie?

Nasz kierowca na to pytanie nie odpowiedział. W ogóle ciągle milczał. Miał minę twardego Kazacha, który z nikim nie musi gadać. Zawiózł nas na cmentarzysko wraków, odległe od Aralska o jakieś 60 kilometrów.

Tu było morze. Dziś, zamiast niego, jest bezkresny step, w którym tkwią zrudziałe blachy kutrów. Dziś to smutna atrakcja turystyczna.

Wróciliśmy do samochodu, by jeszcze zobaczyć namiastkę morza, Jezioro Północnoaralskie. Ma kolor trudny do opisanego. Na pozór zupełnie

czarne, pod wpływem promieni słonecznych nagle staje się zielone, a potem ciemnogrnatowe. Pustynia łagodnie przechodzi w dno morskie. Jakby nie było żadnej katastrofy; jakby się tu nic nie stało.

W MAŁYM DOMKU CZARNOOKIEJ

Wróciliśmy do naszej gospodyni. Mieliśmy trochę czasu, by zobaczyć, jak się żyje w Aralsku. Nasza dobrodziejka mieszka w niedużym domku bez łazienki. Toaletę ma na podwórku. Gazety na kuchennym stole udają obrus lub ceratę. W domu są dwa pokoje, bez łóżek, bo tutaj śpi się na dywanie. W większej izbie, za szybką gablotki stoją miłe oku i sercu Czarnookiej drobiazgi – przywiezione przez nią ze służbowych wyjazdów do Europy. Porcelanowy słonik, obrazek, mała filiżanka.

Czarnooka walczyła z bólem głowy zakładając obcisły bawełniany czepek. Ale choć byliśmy tylko chwilowymi – i to niespodziewanymi – gośćmi, cieszyła się, jak z odwiedzin dawno niewidzianej rodziny.

Po południu wsiedliśmy do pociągu. Zostawiliśmy za sobą Aralsk i jego mieszkańców, wciąż czekających na powrót morza. ○

LUDZIE ZA BURTA

Kiedy morze wyschło, pracę straciło ponad 60 tysięcy osób zajmujących się rybołówstwem i zawodami pokrewnymi.



FOT. ADAM POLEK



PODRÓŻ TO SPOTKANIA Z ODMIENNOŚCIĄ...

TYM RAZEM, ZAMIAST WYWIADU Z ZAGRANICZNYM PRZEWODNIKIEM OPOWIADAJĄCYM O SWOIM KRAJU, ALE PRZEDE WSZYSTKIM O ODWIEDZAJĄCYCH GO TURYSTACH, ZAMIESZCZAMY RELACJĘ RODZIMEGO PILOTA WYCIECZEK ZAGRANICZNYCH. O RADOŚCIACH I UDREKACH TAKIEJ PRACY OPOWIADA MARTA WRÓBLEWSKA.



FOT. MARTA WRÓBLEWSKA

Marta Wróblewska
PRZEWODNIK

organizuje wyprawy autostopem i lokalnymi środkami transportu po Europie, a od niedawna także Afryce i Azji. Jest przewodnikiem miejskim po Warszawie.

Turyści i inne klęski

Kończy się kolejny sezon wycieczkowy. Dla pilotów i rezydentów to kilka miesięcy życia w egzotycznym kurorcie i unikalna możliwość poznania miejscowych zwyczajów i kultury. Co więcej, za tę przyjemność otrzymują wynagrodzenie. Cóż może być wspanialszego dla urodzonego podróżnika? Jednak ci, którzy znają tę pracę z wiedzą, że dla pilotów lato ma niewiele wspólnego z wakacjami.

Przewodnicy z powołania i z naboru

Kto może zostać pilotem lub rezydentem? Powinna to być osoba pewna siebie, elokwentna, otwarta i zaradna: taka, która umie sobie poradzić w sytuacji kryzysowej. Musi również posiadać licencję pilota, wiedzę o kulturze i historii danego obszaru oraz doświadczenie w prowadzeniu wycieczek. Taka jest teoria.

W rzeczywistości, wraz ze wzrostem ruchu turystycznego gwałtownie zwiększyła się też liczba rąk potrzebnych do jego obsługi. Najlepsi piloci, mogący pochwalić się znajomością języków i dużą wiedzą, pracują przy luksusowych, szytych na miarę wyjazdach. Do obsługi turystyki

masowej, tańszych czasów „all inclusive” lub wycieczek autokarowych trafiają młodzi piloci, często niemający żadnego doświadczenia. Niekiedy goszczą dopiero pierwszy raz w kraju, po którym zaraz będą oprowadzać turystów. Dla nich sezon jest prawdziwą lekcją pokory. Szybko dowiedzą się, że głównym utrapieniem przy opiece nad turystami nie jest wydłużony czas pracy czy nieprzewidziane sytuacje, lecz... sami turyści.

Poczytaj mi, przewodniku

Pilot wycieczki szybko orientuje się, że jego obowiązki daleko wykraczają poza ogólną opiekę nad grupą i udzielanie informacji o zwiedzanym kraju. Prócz tego, powinien być pełnoetatowym fotografem, chodzącą encyklopedią, tłumaczem i mamką. Zresztą, nie tylko dla dzieci, także część dorosłych zachowuje się tak, jakby wysłała rozum na wakacje. Po turystach pilot musi spodziewać się sporej dozy nieporadności, bowiem wycieczki zorganizowane wybierają ci, którzy, jak sama nazwa wskazuje, chcą mieć wszystko zorganizowane. W epoce Internetu oraz masowo drukowanych przewodników podobny wyjazd większość osób mo-

głaby zaplanować sama, i to zwykle przy niższych kosztach. Usługi biura podróży wybierają zwykle ci, którzy nie chcą mieć nic wspólnego z aspektami organizacyjnymi, a wielu z nich uważa, że wykupienie wycieczki zwalnia ich z obowiązku samodzielnego myślenia.

Na porządku dziennym jest więc gubienie bagaży, zapominanie paszportu, spóźnianie się na autobus (w skrajnym wypadku na samolot) i dziecinne kłótnie o to, kto będzie siedział przy oknie. Zdarzają się niepokorne dusze, które naumyślnie lub lekko-myślnie łamią miejscowe zasady: wchodzą do meczetu w butach, uparcie robią zdjęcia tam, gdzie jest to zabronione, a nawet wspinają się na starożytne kolumny. Ale to jeszcze nic przy rodzicach, którzy na rajd po rozpalonych od słońca ruinach zabierają ze sobą... niemowlaka. Pilot musi pamiętać o wszystkim i o wszystko zadbać, bo w razie wypadku często to on może ponieść prawne i finansowe konsekwencje cudzej lekkomyślności.



FOT. MARTA WRÓBLEWSKA

Opiekunowie grupy muszą zajmować się wczasowiczami jak dziećmi, jednocześnie odnosząc się do nich z szacunkiem. Wielu turystów uważa bowiem, że w ramach wczasów w luksusowym hotelu w Turcji czy Tunezji wykupiła dwutygodniowy pobyt w raju, wraz z całodobową opieką gromady służących: pilotów, rezydentów i przewodników. Wymagają więc od nich pomocy przy targowaniu się z kupcami na bazarze, rady w sprawie wyboru stroju i kompleksowej prognozy pogody. Turyci są najczęściej dobrze sytuowanymi ludźmi w średnim wieku, więc może dziwić fakt, że rozmowa z recepcjonistą w języku angielskim przerasta ich siły. Polscy wczaso-

wicze wolą załatwiać wszystkie kłopoty z materacem, prysznicem i klimatyzacją za pośrednictwem tłumacza. Nie należą do rzadkości nocne telefony do rezydenta z wiadomością: „mam pająka w pokoju!”

Lekcja pokory i dobrych manier

Ty wiesz, że oni są jak dzieci wysłane po raz pierwszy na kolonie. Ale, zupełnie jak w kabaretowej piosence o Sztirlicu, oni nie mogą wiedzieć, że ty wiesz. Trzeba zachować powagę, nawet jeśli zbiera ci się na śmiech. Choćby taka sytuacja: do pilota przysiadła się jeden z wycieczkowiczów i opowiada o swoich poprzednich wakacjach (ulubiony temat turystów). Oczywiście był w Tunezji i Egipcie. „Teraz jednak stwierdziłem, że nie chcę wyjeżdżać z Europy. Dlatego wybrałem Turcję.” I co tu powiedzieć? Nie wyprowadzić z błędu, to wykazać się niekompetencją. Wytłumaczyć – to arogancja. Mówimy dyplomatycznie: „Ma Pan rację, mimo że jesteśmy w Azji, jest tu bardzo europejsko. Choćby te wszystkie rzymskie zabytki...”

Oczywiście kiwamy głową ze zrozumieniem nad podstępem pytającego, jeśli rozmowa ma miejsce na terenie Tracji Wschodniej (będącej właśnie europejską częścią Turcji) lub w samym Stambule (byłoby nie w którejś z jego anatolijskich dzielnic wzdłuż wschodnich wybrzeży Morza Marmara, takich jak Üsküdar, Haydarpaşa czy Kadıköy, które są już w azjatyckiej części Stambułu).

Klienci biur podróży czasem nie mają absolutnie żadnej wiedzy o państwie do którego się wybrali, a mimo to czują się często odkrywcami nieznanych lądów. Dlatego trzeba bardzo uważać, żeby przypadkiem nie nazwać ich „turystami”. Znacznie lepiej używać, może nieco na wyrost, określenia „podróżnicy”. Mimo wszystkich środków ostrożności, wśród naszych podróżników niemal zawsze znajdzie się ktoś, kto z naszych usług jest niezadowolony. Bardziej powściągliwi wylewają negatywne emocje w ankietach przeznaczonych dla biura, awanturnicy piszą pełne jadu posty w internecie.

Romeo za kierownicą

Ostatnia i najważniejsza lekcja dla przyszłych przewodników: żyj w zgodzie z kierowcą autobusu. Tak, w wielu państwach jest to jeden z najbardziej kłopotliwych aspektów pracy pilota, zwłaszcza gdy jesteś kobietą. Nie chodzi nawet o skłonność miejscowych kierowców do brauwrowej jazdy, wymijania na trzeciego, wymuszania pierwszeństwa i zajeżdżania drogi tym, którzy nie uznali ich prymatu na szosie. Na pierwszy plan wysuwa się ich słabość do Polek, szczególnie tych o blond włosach. Przy spotkaniu pilotka usłyszy najpierw pytanie o stan cywilny, a dopiero potem o samopoczucie. Nawet, gdy skwapliwie wskażać fałszywą obrączkę, żar w oczach kierowcy nie gaśnie. Spróbujmy zmienić bieg rozmowy: „A pan, czy ma pan żonę?” „Oczywiście, że nie!” Nawet w konserwatywnych muzułmańskich państwach nie usłyszysz ani jednego żonatego kierowcy. Jeśli zaś któryś zapomni zdjąć obrączki, przekonuje ze łzami w oczach, że jest to pamiątka po zmarłej przed laty małżonce. Pilotki muszą stawiać czoło różnego rodzaju zalotom. Kierowcy, przekonując o awarii autobusu, namawiają do spędzenia nocy na jego pokładzie. Wożą ciemnymi zaułkami lub brzegiem morza, śpiewają romantyczne ballady oraz zapowiadają, że jeśli masz już narzeczonego, to spotka go vendetta. Na porządku dziennym jest częstowanie lodami i colą, ale zdarzają się i ekstrawaganckie prezenty w postaci podpasek czy paczki mięsa. Ci szczególnie przekonani o zepsuciu Europejsek wręczają po wspólnej wycieczce piwo i papierosy.

Zawsze cię coś zaskoczy

Praca pilota jest nieprzewidywalna. Ot, choćby taka wycieczka do Konyi, jednego z najbardziej konserwatywnych miast Turcji, siedziby zakonu derwiszów. Pewna pani straciła z oczu męża i na głównym placu nawołuje głośno „Jarek! Jarek!” Jest ramadan, święty miesiąc kalendarza muzułmańskiego. Na ulicy panuje atmosfera bardziej nabożna niż zwykle, a nasza turystka wykrzykuje na cały głos... tureckie przekleństwo! To mniej więcej tak, jakby ktoś miotał plugawe słowa w trakcie mszy na Jasnej Górze. Przewodnik przeciska się przez gęstniejący wokół tłum i ucisza: „Proszę wołać męża inaczej! „Yarak” to brzydkie słowo!” „A jakie?” „Takie popularne, jednosylabowe przekleństwo”. „Aaa! To do mojego męża pasuje jak ulał.”

POLARNICY Z JEDNEJ PIASKOWNICY

Marcin Dymek, Mariusz Brzoza, Mirosław Ziółkowski, Grzegorz Mazewski



FOT. MIREK ZIÓLKOWSKI

10 lat temu Brzózka i Mazi pojechali zimą na Spitsbergen. Chyba już wtedy w naszych głowach zrodził się pomysł wspólnych wypraw – tam, gdzie śniegu i mrozu tyle, co słońca w Egipcie. Plan był taki: 200 km marszu na nartach z 50 kg sankami, 11 dni za kołem polarnym w Norwegii. Nasza czwórka to Brzózka, Dymol, Mazi i Ziółtek. Jesteśmy z tej samej dzielnicy Gdańska, znamy się od dziecka. Jasne było, że jeśli jechać, to tylko w tym składzie.





LOKALNI PATRIOCI

Ich zdaniem flaga Gdańska prezentuje się idealnie na każdym tle.

Kierunek Finnmarksvidda zaproponował Brzózka, potem nastąpiła nasza szybka deklaracja: jedziemy! Godziny spędzone nad mapami i w Internecie były konieczne, bo płaskowyż Finnmarksvidda to bezludne pustkowienie, gdzie żeby natrafić na jakąkolwiek osadę, trzeba iść czasem i 100 km. Trasa musiała być dobrze zaplanowana.

WYPRAWA WYMAGA ZAPRAWY

TEREN

Płaskowyż jest rozległym terenem poprzecinanym jeziorami. Nie wiedząc, jak mocny będzie lód, na zamrzniętych zbiornikach przygotowaliśmy dwa warianty trasy. Pierwszy, częściowo przetarty przez skutery śnieżne, przechodził przez kilka jezior, w tym największe, Iesjavri. Drugi jeziora omijał. Na miejscu okazało się, że lód na jeziorach jest wystarczająco gruby, by wybrać pierwszy wariant.

SPRZĘT

Brzózka, po wyprawie na Spitsbergen, był najbardziej zorientowany w temacie, ale i tak wciąż odkrywaliśmy nowe opcje wyposażenia i rozwiązań technicznych. W końcu, odwiedziwszy liczne sklepy internetowe, również zagraniczne, zgromadziliśmy sprzęt, który później miał nas nie zawieść w trudnych warunkach.

KONDYCJA FIZYCZNA

Każdy z nas na ciężkie warunki szykował się indywidualnie, spędzając dużo czasu na basenie, jeżdżąc na rowerze, zimą biegając na nartach. Taka zaprawa dobrze przygotowała nas do wyprawy.

START

Nastąpił w Karasjok 5 marca. Atmosfera spotkania była nerwowa, bo po drodze dowiedzieliśmy się, że poprzedniego dnia na płaskowyżu zamrzło kilku skuterowców. Mimo przekonania, że mamy odpowiedni sprzęt, czuliśmy niepokój.

ZIMNO, ZIMNO, CORAZ ZIMNIEJ

Marsz okazał się bardzo ciężki. Fragment z dziennika Dymola: *Rano było -14°C, teraz jest -5°C, świeci słońce. Dziś było mordercze podejście. Różnica w wysokości: jakieś 300 m, ale te pulki (sanie transportowe) są strasznie ciężkie. Myślę, że wzięliśmy za dużo jedzenia, a i ubrań pewnie nie przemyślałem. Wspinaczka była ciężka, przez późne wyjście nie zrobiliśmy odcinka przewidzianego na dziś, zjadamy powoli jeden dzień zapasu, który mieliśmy na wyjściu.*

Kolejne dni wyglądały podobnie. Wieczorem panował ziąb, zazwyczaj -15 do -25°C. Rozstawianie i okopywanie namiotu, potem jedzenie, jak najbardziej kaloryczne i lekkie. Hitem było suszone mięso - jerky, które każdy przygotował dla siebie według własnej inwencji. Następnie licytowaliśmy się, czyje lepsze. Bardzo ważne w warunkach arktycznych jest picie dużej ilości płynów - mały termos rano i wieczorem oraz 1,5 litra płynu podczas marszu.

Rano temperatura znacznie spadała. *Zaczynamy od wkładania wilgotnego lub zamrożonego polara i spodni, a na to kurtki - też nieco przymarzniętej. Na ściankach namiotu szron - nieprzyjemnie, jak się tak obsypuje - śpiwór cały mokry z zewnątrz ale grzeje. Na szczęście, w dzień śpiwory można było wysuszyć na słońcu, a gdy zamarzały, wystarczyło wykruszyć lód.*

łatwiej jest ogrzać ręce przy -15°C, niż przy -5°C. Przy niższych temperaturach śnieg tak się nie lepi do polarowych rękawic, więc nie namakają. Przy -15°C jest sucho.



FOT. MARCIN DĄBEK

Po śniadaniu ruszaliśmy w drogę. Dziennie pokonywaliśmy, zależnie od ukształtowania terenu, od 15 do 25 km. Wokół nas tylko śnieg. Poza nierównościami terenu, niemal brak punktów, na których można zatrzymać wzrok. Dodatkową trudność stanowiło więc oswojenie się z pozornie monotonym widokiem.

BIAŁA CODZIENNOŚĆ

Rozbijanie obozowiska i gotowanie śniegu było stałym punktem programu wycieczki.



FOT. MIŁOSZ ZDIAKOWSKI

Na nogi wkładaliśmy skarpety, na nie zwykły worek foliowy (który sprawdził się dużo lepiej niż ripstop), a następnie kolejne, grube skarpety. Do tego buty, i już było nam ciepło.

Szczególnie dbaliśmy o palce. Paradoksalnie,

CICHE DNI

Codziennie oglądaliśmy zorze polarne. Największe wrażenie robiły w głębi płaskowyżu - tam, gdzie nic nie przesłania horyzontu. Mimo zmęczenia, usiłowaliśmy jak najdłużej zachwycać się tym wi-

TO NIE PRZEJAZD KOLEJOWY

Znak za plecami nie jest krzyżem św. Andrzeja. To oznaczenie szlaku skuterowego.

KOLORY ŚNIEGU

Znany malarz Julian Fałat pod koniec życia malował śnieg w odcieniach niebieskich. Tu widać, dlaczego.



Magdalena Ługin
Biuro Ubezpieczeń Indywidualnych Ergo Hestii



FOT. MAREK ZDUBOWSKI

Podróżnicy, którzy decydują się na wyprawę w mało uczęszczane rejony świata, gdzie będą polegać tylko na sobie, swoim doświadczeniu i sprzecznej wiedzy doskonale, że przygotowanie fizyczne i dobór ekwipunku to podstawa sukcesu. Do zawartości plecaka warto dołożyć polisę ubezpieczeniową – przede wszystkim taką, która ochroni przed przykrymi niespodziankami w trakcie podróży.

Ekspedycje w rejony, w których nie ma dróg i szpitali, wymagają szczególnej polisy. Należy upewnić się, czy z zakresu zakupionej polisy nie są wyłączone wypadki doznane w czasie ekspedycji, czy można liczyć na refundację kosztów, jeśli niezbędny będzie transport do szpitala np. helikopterem.

Warto pamiętać, że im bardziej nietypowa podróż, tym większe są potrzeby ubezpieczeniowe – zatem czasami będzie potrzebne specjalne rozszerzenie zakresu polisy. To zazwyczaj wiąże się z koniecznością poniesienia dodatkowych kosztów, ale warto inwestować w bezpieczeństwo. Trudno przewidzieć wszystkie sytuacje, jakie mogą mieć miejsce w czasie ekspedycji, a opieka zdrowotna, a przede wszystkim transport do szpitala – mogą być bardzo kosztowne.

dokiem, próbując złowić choć ich fragment aparatem fotograficznym, gdy tak falowały od jednego do drugiego skraju horyzontu.

Pogoda na płaskowyżu była zmienna. Jednego dnia słońce świeciło tak, że szliśmy w samych koszulkach termicznych, kiedy indziej było: *Rano wichura, że hej. Zasypało nas, Ziółka pulki zupełnie zniknęły pod grubą warstwą narwanego śniegu, moje do połowy. Tak wieje, że musimy gotować w namiocie, przez co potem zamarzają nam zamki w namiocie i mój lis wokół kotłowni. Kuchenka coś narwała, małe ciśnienie podaje, musimy więc dłużej gotować. Dzisiaj było ciężko, jest coraz ciężiej. Jesteśmy na otwartej przestrzeni. Przez pół dnia mieliśmy boczny wiatr z lewej, prawie nas przewracał. Temperatura -20°C.*

Maszerowaliśmy po 9-10 godzin dziennie, oczywiście robiąc regularne przerwy. Wcześniej każdy z nas myślał, że wyprawa będzie wspaniałą okazją do długich rozmów i opowieści. Tymczasem na postojach prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Każdy zjadał swoją porcję jedzenia, popijając napojem energetycznym lub herbatą. Do rozmowy nikt się nie kwapił, za bardzo byliśmy zmęczeni. Wieczorem sił starczało jedynie na rozbięcie obozu i przygotowanie kolacji. Zaraz potem szliśmy spać.

Zdarzało się nam spać na taflę zamrożonego jeziora, wokół nic, tylko siarczysty mróz. *Obudziliśmy się około 5:00 słysząc 3 głuchoe tąpnięcia lodu gdzieś na jeziorze, na którym śpiemy przy brzegu – niby wiem, że nie powinno się nic stać, ale niemniej jakoś tak nieprzyjemnie się zrobiło. Potem, obchodząc rano okolicę, zauważam, że 50 m dalej przy brzegu lód jest roztopiony i jest kaszka. Świetnie.*

Po sześciu dniach marszu dostrzeżliśmy światła Alty. Zmęczeni i zadowoleni jesteśmy na półmetku trasy.

I ZNÓW W PUNKCIE WYJŚCIA

Następny dzień poświęciliśmy na odpoczynek i przepakowanie bagaży, dzięki temu nabraliśmy sił na drogę powrotną. Mieliśmy jednodniowe opóźnienie, więc zdecydowaliśmy się pójść nocą, przy świetle księżycy.

Wyczerpani całodniowym marszem i ufni w niezawodność GPS-u... zbaczyliśmy z kursu. Konsekwencją tego była konieczność zejścia stromym urwiskiem, po odpięciu nart i pulek. Były to naprawdę niebezpieczne chwile. Zmęczenie było tak duże, że postanowiliśmy spać pod gołym niebem, bez namiotów, w kurtkach puchowych i śpiworach. Po trzygodzinnym śnie w prószącym śniegu i szybkim posiłku wyruszyliśmy w drogę. Przed zmierzchem chcieliśmy osiągnąć drugi brzeg jeziora Iesjavri.

W czasie postojów próbowaliśmy krótkimi drzemkami zregenerować się po „zarwanej” nocy. Jak by tego było mało, na koniec dnia Brzózce pękło wiązanie narty. Musiał iść w „śniegowcach”. Brak przyczepności utrudniał mu wchodzenie nawet na najmniejsze wzniesienia. Mimo wszystko, jak stwierdził później, obtarte w plastikowych butach stopy doceniły tę odmianę. Tego dnia pokonał ponad 45 km.

Następnego ranka z powodu mrozu przekraczającego -30°C, zwinęliśmy obóz szybciej niż zwykle.

Po 11 dniach marszu w mrozie wróciliśmy na miejsce startu. Byliśmy wymęczeni, ale przekonani, że to dopiero początek kolejnych wspólnych wypraw. Mamy pomysły, co w przyszłości zmienić i ulepszyć. Ale przede wszystkim wiemy, że wzajemnie możemy na sobie polegać. ☺

EIGER

Najwyższej jakości spodnie softshellowe o doskonałych parametrach. Elastyczność materiału i anatomiczny krój gwarantują wysoki komfort noszenia. Wszystkie szwy są podklejone. Idealne do kurtki Trango Jacket



TRANGO

Kurtka softshellowa o wyjątkowych parametrach. Wszechstronna, do całorocznego stosowania. Niezwykle lekka i bardzo wygodna. Doskonała ochrona nawet w najcięższych warunkach pogodowych. Nowość - wszystkie szwy podklejone od zewnątrz.



DERMIZAX MEMBRANES

Entrant
Dermizax

TORAY - MADE IN JAPAN

Materiał: 3 warstwowy, elastyczny laminat Soft Shell wykonany bardzo trwałą impregnacją Kudos XR + Membrana Dermizax EV™ (20.000 mm H₂O / 16.000 g/m²/24h) + wewnątrz z miękkiego włókna PES.

- Reference:
- Association Internationale Des Guides Du Mont Blanc (FRA, ex-lexon (UAGM))
 - Bergwacht Münden (GER)
 - Bergwacht Dresden (GER)
 - Bergwacht Riva (GER)
 - Bergwacht Johanngeorgenstadt (GER)
 - Bergwacht Lüdingen (GER)
 - Bergwacht Harz (GER)
 - Bergwacht Cristfeld (GER)
 - Rescue Service Liberec (CZE)
 - Mountain Rescue - volunteers (CZE)
 - SKI school SKIČESKÉ (CZE)
 - Rescue Service Slovaks - volunteers (SVK)
 - Mountain rescue TANAP (SVK)
 - G.I.C. - Guides Independants de Chamonix (FRA)
 - Mountain Rescue on Slovakia (SVK)
 - Air Rescue Service Poland (POL)



Zimowy trekking

W naszej części Europy zimowa aura przychodzi ostatnimi laty dość nagle i niespodziewanie. Czy w tym roku góry pokryją się białym puchem w połowie grudnia, czy na początku listopada? Tego nie wiadomo. Wiadomo natomiast, jak przygotować się do zimowego trekkingu w górach.

Tutaj na pierwszym miejscu jest bezpieczeństwo. Należy zadbać o to, by się nie poślizgnąć czy nie upaść oraz aby utrzymać odpowiednią temperaturę ciała. Zimą w górach nie ma żartów!

LASPORTIVA TYPHOON LSP

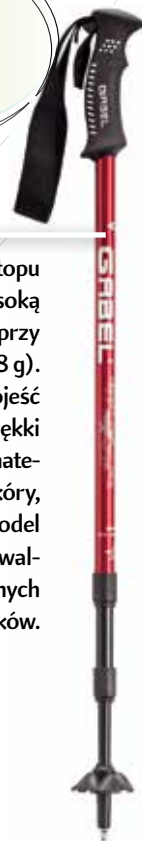


But całoroczny, z przeznaczeniem na górskie wędrówki. Wykonany ze skóry licowej w połączeniu z tkaninami technicznymi (posiada membranę Gore Tex). Typhoon wyróżnia się zaawansowaną podeszwą typu Vibram z Impact Brake System i wkładką EVA, które zapewniają świetną amortyzację.

Cena: 599 zł
www.summit.pl

Cena: 149 zł
www.malavi.pl

GABEL MONT BLANC



Trzyczęściowy kij wykonany ze stopu aluminium F56. Gwarantuje to wysoką wytrzymałość i elastyczność, przy zachowaniu niewielkiej wagi (248 g).

Posiada miękką gumową rękojeść o ergonomicznym kształcie, miękki i wygodny pasek z wytrzymałego materiału nie powodującego otarć skóry, z możliwością regulacji długości. Model ten posiada także widiowe groty o walcowym kształcie i komplet wymiennych talerzyków.

LAFUMA BHOLA WS

Klasyczne w kroju męskie rękawice z membraną Windstopper® Stretch. Wewnętrzna strona z miękką podszeawką. Regulacja okolicy nadgarstka patką na rzep.



Cena: 109 zł
www.lafuma.com.pl

Cena: 60zł (30 kapsułek)
www.bezinfekcji.pl

iMUNE



Suplement diety zawierający Wellmune WPC® i witaminę D3. Dzięki temu skutecznie wspomaga układ immunologiczny organizmu, zapewniając optymalną i kompleksową odporność oraz niwelując skutki stresu, na który można być narażonym również podczas podróżowania.

ACTIVKRILL



Suplement diety z kryła antarktycznego zawiera wyjątkową kompozycję optymalnych dla organizmu kwasów Omega-3 oraz astaksantyny. Dzięki niemu wzmocnimy serce i stawy, co poprawi wydolność podczas wzmoczonego wysiłku.

Cena: 65 zł (30 kapsułek)
www.sercejaknowe.pl



Cena:
579,90 zł (60 l),
599,90 zł (70 l)
www.jansport.pl

JANSPORT EICHORN

Eichorn to plecak dla amatorów dłuższych trekkingów. Dostępny w dwóch pojemnościach – 60 oraz 70 litrów. Także w złych warunkach atmosferycznych jego zawartość będzie bezpieczna, co gwarantują nieprzemakalne suwaki. Dzięki zaawansowanemu regulowanemu systemowi nośnemu, ciężki ładunek nie będzie doskwierał użytkownikowi, a najważniejsze rzeczy będą zawsze pod ręką. Można je spakować w kieszeniach przy pasie biodrowym lub w większej kieszeni w górnej części plecaka.



Cena: 39 zł (za 300ml)
www.summit.pl

NIKWAX TX.DIRECT

Tej marki nikomu przedstawiać nie trzeba. Nikwax posiada szeroką gamę produktów do czyszczenia i impregnacji odzieży, obuwia i sprzętu (plecaki, namioty itp.). Prezentowany TX.Direct służy do impregnacji w pralce. Jest niezawodny i bezpieczny dla środowiska.

LAFUMA HOLNY

Nieprzewiewna, nieprzemakalna i oddychająca czapka z membraną Climactive. Duży daszek, ochrona na uszy oraz podszewka z microfleece sprawiają, że czapka sprawdzi się nawet w najchłodniejsze dni. Z tyłu regulacja obwodu czapki na rzep.



Cena: 79 zł
www.lafuma.com.pl



Cena: 519 zł
www.petzl.pl

PETZL CHARLET VASAK

Raki 12-zębne, do alpinizmu klasycznego. Długość zębów dobrana została w taki sposób, by zapewnić najlepszą stabilność. Dwa płaskie ostrza z przodu dają lepsze podparcie, zwiększając nośność na miękkim podłożu. W komplecie z podkładkami antysnow zapobiegającymi gromadzeniu się śniegu. Prosta, niewymagająca użycia narzędzi, precyzyjna regulacja (co pół numeru).

SALEWA ALPINEXTREME MYON SL-8

Największym atutem tego śpiwora jest to, że jego wypełnienie zostało poddane działaniu jonów srebra, przez co mogą go używać nawet osoby z alergią na kurz, a bakterie są eliminowane w 98,5%. Ponadto waży zaledwie 950 g, a komfortowo czuć się w nim można nawet przy -3 stopniach C.

Cena: 1699 zł
www.salewa.pl





TSL 418 ACCESS

Zaawansowane technologicznie rakiety śnieżne. Posiadają nowatorski system „Up & Down” umożliwiający schodzenie po stromych zboczach bez konieczności trawersowania. Bardzo duża ilość kolców i zębów zapobiega obsuwaniu się rakiet po oblodzonym stoku. Komplet waży zaledwie 2 x 875g. Używane przez wielu GOPR-owców.

Cena: 759 zł
www.rakiety.pl

SIMOND OCELOT

Nowoczesny, lekki (440 g) czekan turystyczny. Stalowe ostrze i wygodna elastyczna rękojeść pozwalają na wspinaczkę zarówno po twardym lodzie, jak i w głębokim śniegu. Najwyższej jakości materiały zastosowane do produkcji czekana zapewniają wysoki komfort użytkowania bez względu na warunki pogodowe.



Cena: 199 zł
www.rakiety.pl

THE NORTH FACE ULTRAHEAVYWEIGHT HIKE

Skarpety wykonane z miękkiej wełny merino, zapewniają izolację cieplną i wygodę w zimowych warunkach.

Szew na palcach jest gładki i płaski, minimalizując możliwość otarcia skóry, a elastyczny pasek wokół kostki i podbicia zapewnia dobre przytrzymanie skarpety na stopie. Posiadają również antybakteryjną impregnację zapobiegającą powstawaniu przykrych zapachów.



Cena: 89 zł
www.thenorthface.com



Cena: 279 zł
www.himalsport.com.pl

GRIVEL SALAMANDER

Kask do wspinaczki zimowej i letniej. Dzięki użyciu poliwęglanu waży 385 g. Zakres regulacji obwodu od 54 do 62 cm. Posiada otwory wentylacyjne i uchwyt do zamocowania oświetlenia.



NIVEA

Udając się zimą na górskie wędrowki nie należy zapominać o zabezpieczeniu naszej skóry. Krem Nivea utrzymuje naturalną barierę ochronną skóry i zapobiega utracie wilgoci. Skóra odżywiona tym kremem jest gładka, jędrna, optymalnie nawilżona i idealnie chroniona przed zimną i wietrzną pogodą.

Cena: 5,99 zł (75 ml
blaszane opakowanie)
www.nivea.pl



Cena: 1179 zł
www.himalsport.com.pl

GRIVEL AVATAR

Najnowszy i najbardziej zaawansowany technologicznie produkt marki Grivel. Wykonany z chromo molibdenu i magnezu. Głowica została wykuta z jednego płata. To wspinaczkowa „Formuła 1”. Przeznaczony nie tylko dla profesjonalistów.



Cena: ok. 1400 zł
www.polartec.com

Cena: 999 zł
www.berghaus.pl

BERGHAUS VELUM PANT

Lekkie (niespełna 400 g), dobrze „oddychające” spodnie górskie z 3- warstwowego GORE-TEX® Active Shell. Zamki na całej długości ułatwiają włożenie spodni, gdy mamy na sobie narty lub raki. Wzmocnienia na kolanach, pośladkach i kostkach chronią przed rozcięciem lub przetarciem. To produkt dla wymagających niezawodnych rozwiązań.



MARMOT ZION

Kurtka wykonana z Polartec® NeoShell® nowej wodoodpornej i oddychającej dzianiny. Jest również rozciągliwa i wytrzymała, zatem ostry osprzęt, powierzchnia skał czy kawałki lodu z pewnością jej nie uszkodzą. Posiada wiele regulacji, kieszeni oraz praktyczny gumowy wzór na ramionach, zapobiegający ześlizgiwaniu się nart lub plecaka.



Cena: 89 zł
www.fjordnansen.pl

FJORD NANSEN GLACIER

Wygodne i trwałe ochraniacze z zabezpieczonym i solidnym zamkiem marki YKK. Ochronią przed dostaniem się do buta wody, błota lub śniegu. Obowiązkowy element ekwipunku przy jesiennych i zimowych wycieczkach górskich. Dostępna również wersja o nazwie Glockner z membraną.

DOLOMITE ADAMELLO GTX

Model butów z serii Hiking, przeznaczony dla miłośników górskich wypraw. Lekkość konstrukcji, komfort noszenia, podeszwa Vibram, membrana Gore-Tex® – to wizytówki modelu, który sprawdzi się w każdych warunkach – od beskidzkich szlaków, po tatrzańskie przełęcze.



Cena: 499 zł
www.dolomite.com.pl



Ruszyła machina wyborcza



W czasach Drugiej Rzeczypospolitej, w dniu wyborów do parlamentu trwała w najlepsze agitacja wyborcza. W wyborach z 16 listopada 1930 roku zwyciężył (55% głosów) Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem - stronnictwo powołane do życia przez zwolenników marszałka Józefa Piłsudskiego. Wybory z 1930 roku noszą przydomek „brzeskie”, gdyż ówczesny rząd aresztował wszystkich przywódców opozycyjnych i osadził ich w twierdzy w Brześciu nad Bugiem. Po zakończeniu wyborów uwięzionych przeciwników zwolniono.

Na zdjęciu zwolennicy BBWR-u agitują na ulicach Krakowa w dniu wyborów do parlamentu.

W najbliższych numerach...



KATAR



ANGLIA



ROSJA

Poznaj Świat

Redaktor naczelny
Dariusz Małkowski

Sekretarz redakcji
Julia Michalczevska

Zespół i współpracownicy
Wojciech Albiński, Ryszard Badowski,
Józef Baran, Agnieszka Bartusiak,
Paweł Chara, Marek Kamiński,
Grzegorz Kapla, Robert Mazurek,
Beata Pawlikowska, Katarzyna Rojek,
Dariusz Rosiak, Marek Szpendowski

Adres redakcji
Kowale, ul. Glazurowa 7, 80-180 Gdańsk
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980, 535 444 990, 583 508 464
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER
spółka z ograniczoną odpowiedzialnością sp.k.
Kowale, ul. Glazurowa 7, 80-180 Gdańsk
KONTO DLA PRENUMERATORÓW:
02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
tel. 583 048 776

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak

Nieoceniona pomoc techniczna
Robert Krygier

Produkcja i Prepress
Artur Bury

Druk
RR DONNELLY Europe Sp. z o.o.

Dystrybucja
TM Media Mirosław Tański

Reklama
Grzegorz Miedziński
grzegorz.miedzinski@poznaj-swiat.pl
tel. 501 641 706

Olga Kołakowska
olga.kolakowska@poznaj-swiat.pl
tel. 501 050 624

Aleksandra Musiał
aleksandra.musial@poznaj-swiat.pl
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów
i opracowania redakcyjnego tekstów.

BUTY Z SERII ALPIN

high-tech w praktyce

Meindl Piz Palü

Sucho i ciepło

Buty z membraną GORE-TEX® Insulated Comfort oferują bardzo dobre właściwości izolacyjne co zapewnia suche i ciepłe obuwie, nawet przy niskich i bardzo niskich temperaturach. Komfort podczas deszczu, śniegu i lodu – cały dzień.

Ciepła, izolująca
wyściółka kołnierza

Cały but posiada wyściółkę
GORE-TEX® Insulated
Comfort Footwear Duratherm.

Meindl Piz Palü GTX



Wielowarstwowy system
pianek wyściółki

www.meindl.pl



Zaprojektowane we współpracy z Niemieckim Związkiem Przewodników Górskich



Rekomendowane przez SNGM - Francuski Związek Przewodników Górskich



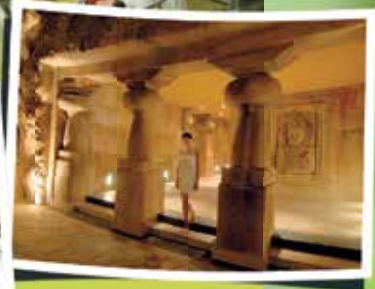
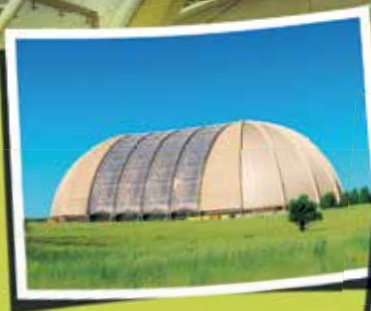
Zaprojektowane we współpracy z Austriackim Związkiem Przewodników Górskich

MEINDL

Shoes For Actives

Tropical Islands

Największy tropikalny park rozrywki w Europie



Wymarzona temperatura 26°C przez 365 dni w roku!

Tropikalny nastrój dla całej rodziny

Jedynie 60 km na południe od Berlina leży największy w Europie tropikalny świat wypoczynku – Tropical Islands. Na powierzchni 66.000 m² oczekuje najmłodszych frajda budowania zamków z piasku na liczącej 200 metrów plaży Morza Południowego, zabawa na zjeżdżalniach na najwyższej w Niemczech wieżowej zjeżdżalni wodnej oraz ogromny Świat Zabaw Dziecka. Czekają na Was odprężenie w największej w Europie tropikalnej Strefie Saun, spacer po lesie tropikalnym i udział w niezapomnianym programie rozrywkowym.

Tropical Islands – niepowtarzalna tropikalna rozkosz urlopu.

Zabawa i wypoczynek dla całej rodziny.

Tropical Islands

Tropical-Islands-Allee 1, D-15910 Krausnick

Bezpośrednio przy autostradzie A13, Zjazd Staakow

www.tropical-islands.pl

Tel.: +48 (0)71/784 60 60

Dworzec Brand (Niederlausitz), bezpłatny autobus



... i czujesz się świetnie!

Oferta „Witajcie dzieciaki”

Bezpłatny wstęp nawet dla trójki dzieci*!

Jeżeli 2 dorośli i 1 dziecko zapłaci za wstęp, drugie, trzecie i czwarte dziecko wchodzi za darmo**!

*Oferta Witajcie dzieciaki obowiązuje dla dzieci od 4-14 lat.

**Ofert pakietowych nie można łączyć z innymi promocjami. Korzystać można zawsze wyłącznie z jednej promocji.